Nr. 8. Lwów, dnia 1. Sierpnia 1885. Rok VIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

GEOGRAFIA ŁOWIECKA

PRZEZ

Dra J. Foichtingera.

Strefy łowieckie.

(Ciąg dalszy.)

Najbardziej ulubione jest w Indyach polowanie na jelenie. Znajduje się tam jeden rodzaj jelenia, ogromnego, zapewne pokrewnego łosiowi. Zwierzę to jest silne i zuchwałe i stacza nawet z bawołem zaciekłe walki. Innym rodzajem jelenia jest biało nakrapiany *(cervus axis)*. Bardzo płochliwy żyje gromadnie w 15 do 20 sztukach. Gdy od pierwszego strzału nie padnie, to już znika nadzieja spotkania się z nim. Rozmaite rodzaje jeleni, jakoteż liczne antylopy, ścigane bywają indyjskimi lub europejskimi psami lub też łowione przez dobrze ułożone lamparty. Te mają na oczach opaski i umieszczone są na wozach. Gdy się jelenie lub antylopy pojawią, zdejmuje się opaskę i spuszcza lamparta z łańcucha. Pełznie on na brzuchu wolno w pobliżu zwierzyny i jednym potężnym skokiem wpada jej na grzbiet. Pojedyńczy jeleń lub antylopa widząc skradającego się ku sobie lamparta rzadko szuka w ucieczce ocalenia. Zdaje się, iż widok ten przejmuje je panicznem przerażeniem, z którego otrząsają się tylko w gromadzie, bo wtedy zawsze szybko umykają. Właściwy sposób polowania na antylopy polega na ich zwyczaju żerowania w trawach śród krów i wołów, które oswaja się z strzałami, a następnie kryjąc się po za nie podchodzi antylopy. Rodzaj ten polowania jest najwydatniejszy. Ponieważ zwierzęta te, gęsto razem żerują, i można bez obudzenia ich uwagi, blisko ku nim podejść, to nieraz dwie nawet sztuki padają od jednego strzału.

Nader liczny jest ród ptasi w Indyach. Mnogie rodzaje papug, pawiów, kur i gołębi ożywiają lasy i pola. Nadzwyczajnem zjawiskiem jest połyskująco zielony gołąb *(vinago)*, w niektórych okolicach przez krajowców jako święty uważany. Toż samo odnosi się do większej liczby rodu bażantów, odznaczających się wielkością, połyskiem upierzenia jakoteż liczbą. Niekiedy liściaste okrycie lasów jest nimi jakoby brylantami ozdobione i nieraz tysiące ich jawią się zdumionemu oku. Myśliwy podkrada się w nocy pod drzewa, najodpowiedniej przy świetle księżyca, wtedy można z łatwością ich jaśniejące pióra od liści odróżnić. Innej przezorności się nie używa, jak tylko spokoju i milczenia. Ptaki są nader silne, więc anglik używa na nie swego *patent shot nr. 4*. Mierzy się zwykle pod skrzydła.

Najbardziej poruszające, ale dla zdrowia europejskiego myśliwego, długiemi latami pobytu w Indyach nie zahartowanego na piekące skwary, bardzo niebezpieczne polowanie jest strzelanie bekasów na zalanych wodą polach

ryżowych. Setki ich się tam znajdują, dają się łatwo podejść, zaledwo jeden padł, już drugi się podrywa. Przyjemność to wielka, ale też, jak już wspomniano, niebezpieczeństwo niemałe. Poluje się w strasznym skwarze, a myśliwy brodzi do połowy ciała w wodzie. Niejeden nowicyusz, nie umiejący się oprzeć pokusie, nabawił się tam udaru mózgowego.

Łowy z sokołem są też przez krajowców używane. Mają oni na ten cel małe sokoły, zwane *bouz*, jako też inne większe, niezmiernie silne i śmiałe, nazywane *byree*. Służą one głównie do połowu cyrusa. Jest to ptak dziwnej piękności, ołowiano szary, na głowie i grzbiecie purpurowy. Dziób jego 4 do 5 cali długi jest bardzo silny. Głos jego śród ciszy nocnej daje się słyszeć na 2 do 3 mil i brzmi z wybrzeży piaszczystych rzek, ulubionej ich siedziby. Sokoł zapędza się za nim i okrąża go w coraz mniejszych kołach. Cyrus chcąc się uchronić od swego prześladowcy, wznosi się pionowo w górę, sokoł czyni toż samo, ale jeszcze wyżej. Gdy ofiara spostrzeże nad sobą strasznego przeciwnika, wydaje z siebie krzyk i podnosi dziób do obrony. Wtedy sokoł okrąża spieszniej swą zdobycz i spada jak piorun na nią. Rozpoczyna się zaciekła walka w powietrzu, która się zawsze tem kończy, że sokoł zadaje ciosy w głowę, zwiera skrzydła i spada wraz z swą zdobyczą. Nim jednak dotknie ziemi, rozszerza skrzydła jakby wachlarz. Myśliwy przybiega i odbiera zdobycz. Polowanie takie daje obraz niewymownej piękności i najróżnorodniejszych odmian.

4. Świat sundów. Należące do niego grupy wysp liczą się do najważniejszych formacyi ziemi. Uwagi godne pod względem geologicznym, jako części wielkiego pasma wulkanicznego, które sięga od wysp japońskich aż do wybrzeża Arakanu, przedstawiają co do flory i fauny przejście między kontynentami Azyi i Australii. Należą tu wielkie i małe wyspy sundowe, Malacca, Formosa i Filipiny. Szczególnie w zachodniej stronie tej okolicy znajdują się australskie zwierzęce i roślinne formy obok azyatyckich. Ród wężów jakoteż nietoperzy najsilniej się tu rozwija, a ostatnich jest 50 różnorodnych rodzajów. Liczba małp, których właściwą ojczyzną jest kontynent azyatycki, również wielkich zwierząt mięsożernych, tu ubywa, tygrys nie przekracza Jawy. Piżmowiec także staje się tu tak małym i wątłym, że noszą go w koszach na targ. Słonie są wprawdzie bardzo wielkie, ale znacznie mniej liczne, jak w Indyach, również nosorożce i tapiry. Im bardziej posuwamy się ku wschodowi i południowi, tem więcej oddalamy się od strefy łowów tygrysich, a wchodzimy w sferę torbaczów. To zlanie się dwóch sfer zwierzęcych mogłoby kraj owych wysp uczynić dla myśliwego wielce ponętnym, gdyby klimatyczne, sanitarne i podróżnicze stosunki upodobaniu łowieckiemu nie stawiały tamy.

5. Kaspijskie stepy tworzą wraz z Arabią i Persyą ogromny obszar, pod wielu względami nader charakterystycznej fauny. Rozległe przestrzenie kaspijskich stepów ciągną się ku północy i wschodowi, aż do sybirskich nizin, a tylko wzdłuż wielkich strumieni ma człowiek odpowiednie warunki życia. Tu właściwa jest siedziba antylopy, zastępującej miejsce jelenia. W Tartaryi, Arabii i Persyi był dawniej zwierzostan bardzo bogaty. Persya jest dotąd w wielu okolicach nader obfitą w zwierzynę. Pojedyńcze tygrysy przeciągają aż po za Tartaryą, a łowy na dzikiego wielbląda nie były aż do najnowszych czasów w tartarskich stepach osobliwością. Dziki wielbląd odznaczał się tak nadzwyczajną rączością, że myśliwi konni zaledwie go doścignali, a strzały ich nie dosięgały. Lew jest w Persyi i sąsiednich krajach pospolitym i już w czasie podróżowania tamże Marka Polo, odbywały się polowania na niego z taką okazałością, jakiej tylko wschodnia fantazya wraz z oryentalnem bogactwem dostarczyć może. Lwa ubijano z grzbietu słonia, a wspaniałe zwierzyńce posiadały całe gromady oswojonych lwów, myśliwskich lampartów i słoniów. Osobnym rodzajem polowania był następujący. Prowadzono osła na trop lwa przez kilka dni. wreszcie służył osioł za ponętę, a wstrzykiwano mu w szyję wiele opium. Z tego powodu stawał się lew ospałym, i wtedy zarzucano na niego sieć. Gdy się obudził ze snu i usiłował powstać, ubijał go król siedząc na słoniu, żelaznym pancerzem okrytym. Jeszcze w roku 1689 naliczył Paweł Verbiest w pewnym perskim zwierzyńcu 1000 jeleni, a kuropatwy latały jak wróble. Jedno polowanie, w którym wziął udział, dostarczyło 1125 zajęcy. Alexander Wielki, namiętny wielbiciel Diany, ubił podczas swego pobytu w Persyi własną ręką ogromnego lwa, a chwała perskiego myśliwstwa dosięgnęła wówczas wybrzeży śródziemnego morza. Philetas sam motał sieci dla perskich łowów. a Lacedemończycy wyprawili poselstwo, które miało bohaterowi z powodu jego zwycięstw i myśliwskiego powodzenia złożyć należną cześć. Sieci Philetasa miały okrążać przestrzenie kilku mil. Wszyscy Afganowie są namiętnymi myśliwymi i zawsze mają strzelby z sobą. Sokolnictwo jest u nich bardzo rozwinięte i zręczni są bardzo w motaniu sieci. Wielką oni cenę przywiązują do psów, lubią wyścigi konne i walki kogutów. Również polowanie na dzikiego osła, jest w Persyi poszukiwaną rozrywką. Jeszcze w r. 1637 było ich wiele zamkniętych w sąsiedztwie Ispahanu, dla przyjemności szacha Sefi, który chętnie do nich strzelał. Mięso ośle jest u Persów wszystkich stanów ulubioną potrawą.

Afryka.

Z powodu swego jednostajnego kształtu jakoteż niewielu strumieni, niedostępnych dla spławu z przyczyny wielu katarakt, pozostała Afryka do dnia dzisiejszego najbardziej odosobnioną i najmniej znaną ze wszystkich części świata. Charakter tego odosobnienia wzmocniony jest jeszcze klimatem i przez mieszkańców. Afryka jest najgorętszą częścią całej ziemi. Piasek w puszczy bywa w lecie tak piekącym, iż można w nim jaja gotować, ale znaczne wypromienianie ciepła wywołuje w nocy tak mocne zniżenie temperatury, że rano ścięcie na powierzchni wód nie jest osobliwością. W tych to odwrotnych przeciwnościach klimatu afrykańskiego leży szkodliwość jego wpływu na podróżnych i myśliwych. Prócz tego przesycone jest powietrze w dolinach rzek i rozległych obszarach bagnistych wyziewami od lat tysięcy gnijących roślin, miazmami różnorodnych materyi, tyfoidalnej gorączki, biegunki; nadto udar słoneczny i wycieńczenie sił wskutek wytężenia i głodu zagrażają na każdem miejscu. Charakter krajowców zwłaszcza niezmięszanych dotąd pokoleń murzynów w Afryce centralnej, skłania się jeszcze ku dzikości i srogiemu okrucieństwu, a liczba pomordowanych europejczyków, ofiar popędu badawczego, męczenników w sprawie dążeń naukowych, krwią swoją oblewających skwarne ziemie afrykańskie, daje świadectwo temu twierdzeniu. Tak zginął towarzysz Bartha Overweg w r. 1852 u jeziora Tschad, Vogel

zamordowany r. 1856 w Wadaj, Roscher r. 1860 w Nyanzy, Beurmann w Wadaj, van der Decken r. 1865 u rzeki Dinby. Jak we wszystkiem, tak też w stosunkach łowieckich znaczy się na kontynencie afrykańskim charakter odosobnienia, barbarzyństwa i niewiadomości. Widzimy w nich wyrażone prawidło, iż w metodach łowieckich odźwierciedlają się wiernie plastyka ziemi, klimat i właściwości kultury rasy.

Północny brzeg kontynentu, tworzy obraz przechodowy między Afryką a właściwą Europą, z którą on w istocie był niegdyś połączony. Morze śródziemne wywierało znaczny wpływ, na rozwój jego dziejowego życia, jakoteż na wzrost jego stanu cywilizacyjnego. Nie murzyn tu dziką pięścią wyciska piętno na życie, lecz duch arabski i francuski działa twórczo i uszlachetniająco. Różni się przeto łowiectwo północnej Afryki znacznie od myśliwstwa jej wnętrza. Podczas gdy ono podobniejsze do europejskiego, widzimy u pokoleń negrów metody łowieckie zupełnie dzikie i w skutkach niepewne. Przewaga negra nad zwierzętami jest z powodu wątłego ducha wynalazczego stosunkowo mało znaczącą. Mało on posługuje się otaczającą go naturą, więc też broń jego i środki obrony są słabe. Nie oddaje się wytrwałej pracy, żadnej, którąby go podniosła na wyższą stopę i dostarczyła mu mnogich uciech życia. Skoro zaspokojoną jest na chwilę potrzeba głodu lub własnej obrony przez ubicie zwierza, to zapada w gnuśną bezczynność, aż znowu dziki zwierz mu dziecko porwie lub niewiastę poszarpie. Zoologiczne i łowieckie żywioły tak wielkiego kontynentu, muszą w swoich szczegółach wykazywać ogromne różnice. Wyłączyć musimy przedewszystkiem Saharę jako odrębną właściwość. Obszar jej przenosi co do rozmiarów dziesiąć razy całe Niemcy, a ów olbrzymi, dopiero w najnowszym periodzie kształtowania się ziemi, podniesiony grunt morski wykazuje w wegetacyi i faunie więcej różnorodności, jak to się na pierwszy rzut oka zdaje. Tylko w zupełnie piasczystych okolicach znika wegetacya prawie całkowicie, w innych miejscowościach wyrasta na ziemi wątły las i cierniste krzewy akacyi, na południu podczas deszczów tropikalnych w dal sięgające trawiska, ożywione licznemi trzodami dzikich i swojskich zwierząt. Zagłębienia, w których zbiera się woda, oazy pokryte są palmami daktylowemi, drzewami morelowemi, brzoskwiniowemi i granatowemi, między któremi łany uprawne się pojawiają. Sahara jest właściwą ojczyzną afrykańskiego strusia, który myśliwemu daje tyle przyjemności, również antylopa ożywia miejscowości niezupełnie piaskiem zasypane. Afryka bogatą jest w antylopy różnego rodzaju. Szczególnie na wysoczyznach Habeschu i w centralnej górnej Afryce rozradzają się antylopy co do liczby i rodzajów tak mnogo, jak nigdzie indziej. Lekko i wdzięcznie skaczą po skałach i łączą w sobie znamiona jelenia, wołu, kozy, nawet konia. Tak podobne są rogi Gnu, nader ciekawego rodzaju antylopy, do rogów bawoła, z szyji, korpusu i ogona ma podobieństwo do konia. Mięso jego jest smaczne, a polowanie nań pospolite.

Wszędzie gdzie zamiast lasu rozlegają się trawiska, występuje antylopa w miejsce jelenia. Często pasą się gromady, złożone z tysięcy sztuk, na bezdrzewnych stepach. Antylopa jakkolwiek podobna do naszej kozicy, różni się jednak od niej mianowicie tem, że jest mieszkanką zarówno dolin i gór. Rozszerzyła się niezawodnie z górnej Afryki ku stepom północy i południa i liczy obecnie w południowej Afryce 25 rodzajów, w Habesch 10, a w okolicach Nilu i Sahary 9. Najbardziej charakterystycznem oswojonem zwierzęciem Sahary jest wielbląd. Nie tylko nosi na grzbiecie swoim jeźdźca i ciężary, ale daje też mleko i wełnę. Wielbląd i palma daktylowa zaludniają puszcze. Jak Sahara jest strefą strusia i wielbląda, tak górna Afryka przeżuwaczów i gruboskórych. Obok antylop jawią się tu bawoły, żyrafy i rozmaite rodzaje koni pręgowanych, które zastępują miejsce ekwidów górno-azyatyckich stepów. Również pachydermy: nosorożec, słoń, hipopotam przypominają tropikalny, jakoby południowo-azyatycki typ kraju. Słoń dosięgał pierwotnie do południowego brzegu Sahary aż do Kap, gdzie wszakże już jest wytępiony. Różni się od swego indyjskiego pobratymca tem, że dotąd nie powiodły się usiłowania ułaskawienia go. Daje wszakże znaczny pożytek swoją kością, przedmiotem handlu z Europą. Lew, szakal i pręgowana hyena szerzą się od Berberyi aż do Kap, zające w krzewach niskich są pospolite, również lampart, ozelot i pantera od Berberyi do Gwinei. W lasach z powodu swego zabójczego klimatu mało badanej zachodniej Afryki mieszkają szympansy i orangutany, otoczone rzeszą podrzędnych małp. Szczególnie licznem jest w zachodniej Afryce ptactwo z rodzaju kur, dostarczające myśliwemu niewyczerpane źródło przyjemności, jeżeli się odważy stanąć do walki z jadowitymi miazmami, które z bagnisk się podnoszą. Flamingi, ibisy, pelikany, czaple ożywiają wody Egiptu i północnych od Sahary krajów, a w zimie jawią się tu nasze ptaki wędrowne środkowej Europy. Tak więc Afryka jest olbrzymim terenem łowieckim dla dobrze uzbrojonych europejskich myśliwców, toż przebiegają oni od południa ku północy aż do białego Nilu. Ale o tem terytoryum możnaby słusznie powiedzieć: „wielu powołanych, mało wybranych“. Sprobujmy nakreślić niektóre charakterystyczne rysy, jako przyczynek do przyszłego zupełnego obrazu afrykańskiego łowiectwa.

P o l o w a n i e n a s ł o n i e. Niegdyś spłacała Afryka haracz władcom Persyi zębami słoniów, a żydzi budowali pałace z kości słoniowej. Dachy greckich dworów książęcych obłożone były kością słoniową, a w czasach Periklesa stawiali grecy kolosalne posągi swych bogów i bohaterów z kości słoniowej, niezmierne zaś zapasy jej przechowywane były jako skarby w świątyniach. Za życia Polibiusza używali Etiopowie kości słoniowej do obramowania drzwi i okolenia swoich pól. Dziś jeszcze jest słoń bogactwem murzyna. Mięso jego stanowi ulubione pożywienie, zęby kosztowne mienie. W Kap polują Europejscy przedsiębiorcy na słonia dla jego kości, a do pomocy służą im hotentoci. C o w p e r R o s e przyłączył się do takiej niebezpiecznej wyprawy. Przedsiębiorcą był stary, angielski przemytnik, chudy, kościsty człowiek z biegającymi oczami. Ubior jego składał się z ciemno-niebieskiej płóciennej koszuli i spodni. Głowa jego obwinięta była żółtą jedwabną chustką, a róg z prochem i strzelba wisiały mu na ramionach. Dwaj jego hotentoci mniej ozdobnie byli ubrani, mieli krótkie spodnie, nogi i górny korpus nagie, róg z prochem i worek z prowiantem zawieszone na ramionach. Każdy z nich niósł ogromną 20 funtów ważącą strzelbę. Tak przeciągali najdziksze ostępy, gdzie za dnia żaden głos się nie odezwał, w nocy zaś szakal i hyena przeraźliwie przerywały ciszę. Po kilku dniach spotykano tropy słoniów, a hotentoci wnosili z całą dokładnością o ich wieku. „Ten ma trzy lata, ów z dzisiejszej nocy“, rzekł jeden z nich. Tak postępowaliśmy dalej w piekącym skwarze, aż wreszcie ukazała

się nam w dali trzoda słoniów, ale tylko właściwie krajowym myśliwym, bo moje niewprawne europejskie oko nic nie widziało. Wzrok i zmysł badawczy tych ludzi jest zadziwiający. Na suchej ziemi, gdzie ciężki słoń ledwie nieco tropu pozostawia, śród suchych liści, miotanych na wszystkie strony wiatrem, rozróżniali pochód jego. Zielony liść przewrócony lub złamany, zgięta gałęź i tysiączne inne znaki były dla nich wskazówką niezawodną. Najwytrawniejszy europejski myśliwy zdumiewa się i podziwia tych ludzi. Nakoniec wstąpiliśmy na pagórek przeciwny temu, na którym stały słonie. Zeszliśmy z niego milcząc, wolno i postąpili ku przeciwnej stronie tak jednak, aby wiatr od zwierząt ku nam dochodził. Dziwne to było uczucie znajdować się o 20 niemal yardów od zwierząt, z któremi spotkanie groziło śmiercią, ale one żerowały w trawie spokojnie z zwieszonemi uszami i dawały obraz zupełnego spokoju. Padł jeden strzał, następnie drugi i z ośmiu słoniów siedm umknęło. Jeden słoń legł, ale wnet się zerwał. Nigdy nie słyszałem podobnego ryku. Gdy po raz drugi padł i już się nie poruszał, podeszliśmy ku niemu. Kula dosięgła serca. Ruszyliśmy natychmiast w pogoń za popłoszonymi słoniami. Wiódł nas wyraźny ich trop. W przerażeniu rwą wszystko, co im w drodze stanie. Nakoniec stanęły, gdy już nie czuły niebezpieczeństwa, i w podobny jak pierwej sposób uzyskaliśmy znowu jedną zdobycz. Tak trwa polowanie przez wiele dni, nim cała trzoda polegnie. Noce upływają przy ognisku, które okrążają bawoły i zwierzęta drapieżne.

R y n o c e r o s a nawet na koniu trudno doścignąć. Pędzi on zawsze prosto naprzód i to ułatwia jego pościg. Mieszkańcy Habeschu, gdzie rinoceros jest pospolitym, wyprawiają się zwykle na polowanie we dwóch na jednym koniu. Strzela się kulą wielkiego kalibru, ale polowanie najczęściej źle się kończy. Czasem myśliwi spotykają się z nim podczas tarzania się w błocie. Niekiedy także schwytany bywa w dołach.

H i p o p o t a m zabijany bywa harpuną, której lina jest bardzo długą. Myśliwy trzyma w prawej ręce część liny, w lewej rękojeść harpuny, resztę liny i kawałek drzewa. Zbliża się w dzień ku spiącemu na piasczystej wyspie zwierzęciu, lub podkrada się pod nie w nocy, gdy wychodzi w celu udania się w zboża. Rzuca harpunę z oddalenia siedmiu stóp. Jeżeli żelazo utkwi w mięśniach, to umyka zwierzę do wody, a kawałek drzewa wskazuje kierunek ucieczki. Niemałem jest niebezpieczeństwo, gdy ów drapieżnik spostrzeże myśliwego, nim on harpunę rzuci, wtedy rzuca się wściekle ku niemu i rozmiażdża go od razu w strasznej swej paszczy. Kiedy zwierzę już widocznie jest osłabione, zbliżają się myśliwi ostrożnie. Często bolem rozszalałe rzuca się ku łodzi i usiłuje ją przewrócić, przyczem dostaje cztery lub pięć harpun i przyciąganym bywa ku łodzi tak, iż nie wiele ma miejsca do szamotania się. Wtedy kołami w głowę otrzymuje ostateczne, śmiertelne ciosy. Ponieważ trudno go wyciągnąć na ląd, przeto w wodzie jeszcze bywa rozrąbywany. Wagę ma czterech lub pięciu wołów, a w młodym wieku daje smaczne mięso, starych jest zanadto tłuste. Ze skóry wyrabiają się wyborne bicze. Sławny, angielski myśliwy C u m m i n g, który przez długi czas polował w Afryce, zabijał te potwory także strzałami, przyznaje on jednak sposobowi polowania krajowców pierwszeństwo, gdyż po strzale zdobycz często przepada w wodzie.

A f r y k a ń s k i b a w ó ł jest zwierzęciem nadzwyczajnie dzikiem i groźnem. Polowanie na niego jest szczególnie dla osadników Kapu znakomitą przyjemnością myśliwską. Wyprawiają się na niego nie tylko dla mięsa, lecz i dla skóry niezwykłych przymiotów. Potężne, czarne albo ciemnopopielate to zwierzę pokryte jest z przodu długim, czarnym włosem, a silne na trzy stopy długie rogi leżą płasko. Głowa zawsze w bok zwrócona, oko patrzy zuchwale i podstępnie. Za dnia przebywają w gąszczach, w nocy pasą się w dolinach w trzodach często kilkaset sztuk liczących. Gdy ludzie się zbliżają, ukrywają się pojedyncze bawoły po za drzewami i czatują. Nagle rzucają się do wściekłego ataku, wtedy tylko spieszna ucieczka na drzewo może się stać ocaleniem. Bieg nic nie pomoże, wściekła bowiem bestya prześcignie pęd nawet najszybszy. Nie dosyć jest mu zabić swego przeciwnika, trupa nawet rogami roztarga i nogami rozdepcze. Następnie pomyka, ale najczęściej powraca rozwścieklony i na nowo rozpoczyna krwawe dzieło. Krajowcy ubijają tego potwora z łuku, często też oszczepem, osadnicy osadzają go psami i ubijają ze sztućców. Gdy który z krajowców odkryje ostoję bawołów, daje znak świstawką, sporządzonej z kości owczej. Głos ten daleko się rozchodzi. Wtedy nadbiega całe pokolenie, śród ciszy okrąża zwierzęta i obsypuje je gradem strzał. Bawoły usiłują przedrzeć się, przyczem zwykle znajduje kilku Kafrów śmierć. Ale nie troszczą się o to Kafrowie, życie ludzkie nie ma ceny w Afryce.

P o l o w a n i e n a l w y w Afryce jest już tylokrotnie szczegółowo opisane, iż nie chcemy nużyć cierpliwości czytelników powtarzaniem tego przedmiotu. Pozwolimy sobie tylko zwrócić uwagę na niektóre charakterystyczne i nader ważne rysy, mniej może znane myśliwym kontynentu. Tu należą przedewszystkiem spostrzeżenia angielskich myśliwych, którzy w Indyach i Kap polowali, że polowanie na lwy pod względem piękności i wspaniałości nie może się równać z polowaniem na tygrysy. Silne psy z łatwością pokonają lwa, tygrysa nigdy. Osadnicy Kapu mają tak dobrze ułożone psy, że wstrzymują ucieczkę lwa, i ostanawiają go aż do przybycia myśliwego. Zdarza się czasem, że bardzo silne psy same odważają się rzucić na króla puszczy i pokonują go, przyczem zapewne nie jeden z nich śmiercią zuchwałą śmiałość przepłaca. Negry prześladują lwa aż do jego legowiska, i ubijają go zatrutemi strzałami. Inni czatują na niego z drzew i strzelają. Napaści lwa na trzody domowe są powodem wielkich wypraw z nagonką. Lew przenosi mięso końskie nad wszelkie inne. Myśliwy T h o m p s o n tak opisuje nagonkę, w której wziął udział: „Lwa wypłoszyły psy z legowiska i ostanowiły w czystem polu. Jezdni myśliwi okrążyli go i po kolei przypadali do niego na strzał“. Polowanie na lwy jest w każdym razie połączone z niebezpieczeństwem, jeżeli lew ma młode. Potwierdza to C u m m i n g (A hunters life in South Africa): „Łowy na lwy są w pewnym razie bardzo niebezpieczne, przedewszystkiem, jeżeli to zwierzę ochrania swe młode. Pogarda śmierci, zimna krew, moc nad sobą, znajomość zwyczajów lwa i wprawa w strzale są niezbędnymi warunkami powodzenia na takiem polowaniu“.

L a m p a r t jest szczególnie w Kap niesłychanie dzikim i dla człowieka niezmiernie groźnym. Prześladują go więc nieustannie całe towarzystwa myśliwskie. Misyonarz S c h m i d t, urodzony w Morawii, wyszedł pewnego razu z kilku hoten-

totami na hyeny. Nagle spotkano się z lampartem, który nawet opadł najbliższego hotentota. Nadbiegł Schmidt ze strzelbą, ale lampart opuścił hotentota i rzucił się na niego. Nim mógł wystrzelić już go doścignął, a uderzając nań wytrącił mu strzelbę z ręki i powalił na ziemię. Na szczęście padł na lamparta i przygniótł mu brzuch kolanem. Zwierzę chwyciło łapami jego lewę ramię i zdarło mu ubranie w szmaty. Schmidt człowiek silny chwycił je za kark i usiłował rozpaczliwie udusić. Ale mimo siły już osłabł i byłby niezawodnie zginął, gdyby był jeden z hotentotów głosu jego nie usłyszał. Nadbiegł i ugodził strzałem lamparta w same serce. Schmidt był strasznie pokaleczony na piersiach i ramionach i przez kilka tygodni walczył ze śmiercią.

Pantera zastępuje w Afryce miejsce tygrysa. Polowanie na nią tak jak na hyenę, nie daje zbyt ciekawych szczegółów. Ubijaną bywa strzałą i strzałem, łowioną też w samołówkach.

Ściganie szakala odbywają anglicy w Afryce tak jak w swej ojczyźnie lisa. Pole łowów jest jednak najczęściej nie bardzo pociągające. Okryte ono piaskiem i obrzydliwą trawą, przecięte nieraz szerokimi jarami. Trudno też psom dotrzymać tropu, biegają chętnie za antylopami, których tu mnogo.

Polowanie na antylopy daje ciekawy i barwny obraz. Uwagi godnym jest *orix*, zwierzę, któremu baśń o jednorożcu zapewne swe pochodzenie zawdzięcza. Jego długie, proste rogi wzięte w profilu, łączą się z sobą tak, że wyglądają jak jeden. Ma ono postać konia, ale głowa i kopyta są antylopy. Mieszka w strefach skwarnych, wybornie wytrzymuje pragnienie i przenosi bezdeszczne i bezwodne okolice nad inne. Polowanie odbywa się z konia, ale dopiero po długiem ściganiu w skwarnych stepach piaszczystych bywa pokonane. Mięso jego bardzo cenione.

Kozioł skoczek *(antilope enchore)* wykonuje często skoki 12 do 15 stóp. Niezmiernie ciekawe są wędrówki tego zwierzęcia. Cumming opowiada: „Leżałem w moim wozie około dwóch godzin przed brzaskiem dnia. Gdy się rozjaśniło wstałem i ujrzałem przestrzeń po stronie północnej mego obozowiska pokrytą żywą masą skoczków, które powoli naprzód postępowały i wynurzały się z rozpadlin zachodniego pasma pagórków, jakby fale wielkiego strumienia, a znikały po za wysoczyzną na północnym wschodzie. Okrywały ziemię na przestrzeni około pół mili. Niemal dwie godziny patrzałem na tę dziwną scenę, a przez cały ten czas przepływała ta fala w zwartej masie bez przerwy koło mnie. Pożerają wszystko, co się nadarzy, i zamieniają w kilku godzinach bujne pola w pustynię. W jednej nocy bywa farmer pozbawiony wszelkich plonów. Poluje się na nie z konia śród pełnego skwaru afrykańskiego dnia. Wypłasza się zwierzę z legowiska, a widok jego skoków jest przedziwny. Konie holenderskich chłopów w Kap są tak wybornie ułożone, iż wystarcza zarzucić im cugle na szyje, aby ich w biegu powstrzymać i uzyskać możność strzału.

Żyrafy mają ostoję swoją głównie przy drzewach akacyowych, których liśćmi chętnie się żywią. Żyją gromadnie w 10 do 12 okazach i pospolitemi są szczególnie w pasmach pustynnych południowej Afryki. Na dzielnych tylko koniach mogą być doścignięte. Przezorne są nadzwyczajnie i w rozpacz wprawiają nieraz myśliwego swymi wybiegami podczas ucieczki. Vaillant prześladował gromadkę złożoną z pięciu sztuk bez skutku w ciągu całych trzech dni. Często tracił je z oczów mimo wysilenia swego konia, oddzielił się od swych towarzyszów i był zmuszony na skwarnym piasku pustyni bez pożywienia wypoczywać. Nakoniec udało mu się jedną ubić. „Któżby mógł sądzić — opowiada on — że ta zdobycz upoiła mnie szaloną radością. Męki, trudy, cierpienia, niepewność położenia, wszystko było zapomniane. Nie mogłem się nasycić widokiem mojej zdobyczy. Zmierzyłem jej ogrom na wysokość. Zwołałem moich ludzi, mojej strzelbie poświęciłem szumną mowę pochwalną“.

Polowanie na strusie odbywa się z konia na niezmiernej płaszczyźnie puszcz. Z wszystkich biegających zwierząt struś podobno najszybszy. Skoro uczuje, że jest prześladowanym, poczyna wolno uciekać krokiem szybko pędzącego człowieka. Jeźdźcy rozpraszają się, zabiegają mu drogę z różnych stron, napędzają go sobie nawzajem i trudzą i niepokoją tak długo, aż tenże widząc niemożność ucieczki wetknie głowę w piasek lub skryje się w jakim gąszczu. Niekiedy staje do walki szczególnie łapami, w których taką siłę posiada, że najsilniejszego człowieka obali. Szybszym on jest jak najrączszy koń arabski i pokonuje go tylko liczba przeciwników. W całym pędzie rozwija struś skrzydła, i zdaje się unosić nad ziemią, której nie dotyka. Pewien admirał angielski miał w swojej majętności oswojonego strusia, który żebraków odpędzał. Złowiony bywa ubijany podcięciem szyi. Spływająca krew jest najwytworniejszym przysmakiem arabów. Z obielonej, niezmiernie mocnej skóry jego wyrabiają kirasy i pancerze. W Darze i Lidyi chowane bywa mnóstwo strusiów z powodu ich kosztownych piór. W stanie oswojonym służą do jazdy wierzchowej.

Polowanie na małpy jest również częścią afrykańskiego myśliwstwa. Małpy kryją się w gałęziach i prawie nie mogą być dostrzeżonemi. Negry jedzą ich mięso gotowane i pieczone, ale europejczycy nie smakują w niem z powodu przeraźliwego podobieństwa małpy do dziecięcia, nawet Kreolczycy nie pokuszą się o nie.

Ameryka.

Ameryka jest dla myśliwego najważniejszą częścią świata, lubo uboższą jest w zwierzynę, jak Azya, gdyż rozszerza się we wszystkie strefy i posiada okazy wszelkich rodzajów zwierząt i daje nieporównane pole działania dla wszelkiego rodzaju myśliwstwa. Jakkolwiek łowy w Azyi na tygrysa, w Afryce na lwa, w obu kontynentach na zwierzęta gruboskórne, odznaczają się wspaniałością i wielką chwałą, to jednak tak żywo poruszającemi, tak płodnemi, tak kształcącemi żadne nie są w tej mierze, jak amerykańskie. Najwyższe góry południkowe Andów, największa wysoczyzna ziemi, tworzy silny mur Ameryki, rozciągający się od 50° północnej aż do 40° południowej szerokości. Dzieli się na równorzędne pasma, otoczona przez żyzne niziny i straszliwe puszcze. Tu występują właściwe tej części ziemi rośliny kaktusowe, dostarczające zarazem wody i materyału budowlanego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

O stanie stosunków rybackich i prawnych w Galicyi

PRZEZ

Dra M. Nowickiego.

(Ciąg dalszy).

Z byłych dominjów pewna część utrzymała się dotąd w wyłącznem wykonywaniu rybołowstwa na całej przestrzeni wszystkich rzek w obrębie dóbr, i to nietylko wzdłuż brzegów własnych, lecz także wzdłuż brzegów należących do gmin i do włościan, z wykluczeniem więc byłych poddanych. W sporach przez gminy wzniecocnych, prawomocne wyroki sądowe lub dekreta władz politycznych przyznały rybołowstwo byłym dominjom. Kamera od dawna i wyłącznie wydzierżawia rybołowstwo na własnem terytoryum, o ile rzeki przepływają dobra kameralne; utrzymała się przy niem także na granicznej Wiśle w sporze z gminą Niepołomice. I inne dwory wyłącznie wykonywają rybołowstwo w obrębie dotyczącej gminy katastralnej, lub tylko wzdłuż brzegów w granicach własnego obszaru; podobnie gminy, które się dworom wykupiły (Czarny Dunajec, Waksmund...). W Żywieckiem łowienie ryb uwidocznione jest na rzecz dworów w metrykach przychodu gruntowego z 1820 roku: w Żywcu gmina w sporze z dworem, wygrała na podstawie motywu tamtejszego Sądu, że Soła jest rzeką publiczną. Gdzie są stawy na rzekach, tam dwory wykonywają rybołowstwo na jednych i drugich; miejscami tak bywa znowu, że na częściach rzek powyżej stawów, łowią ryby w czasie spustu właściciele stawów, zaś w zwykłym czasie właściciele brzegów. Roszczenia gmin o wspólne z dworem wykonywanie rybołowstwa na rzekach, zagodzono miejscami tak, że wyłącznie dwór łowi ryby większemi sieciami i włokami, a włościanie tylko małemi sieciami. Miejscami dwory wspólnie z gminami urządzają połów ryb na rzekach te gminy katastralne przepływających, w ten sposób, że dwór daje sieci, zaś gmina potrzebnych ludzi, a ułowionemi rybami dzieli się dwór i gmina. Indziej dwory przyznają sobie rybołowstwo, a członkowie gminy łowią ryby dla siebie. Jeszcze inne dwory zaniechały wykonywania rybołowstwa i nie chcą się z gminami o nie spierać, bo jak mówią, skórka nie starczyłaby za wyprawę.

Gminy jako korporacye, wyjątkowo tylko (Oświęcim, Dołhe, Halicz...) posiadają i wykonywają rybołowstwo wzdłuż swych brzegów w obrębie granic własnej gminy. W takich, zwierzchności wydzierżawiają rybołowstwo i sprawują zarząd dochodem, obracając go na gminne potrzeby. Zazwyczaj gminy opierają się wydzierżawianiu rybołowstwa na rzekach przepływających grunta ich i włościan, i wolą je mieć słowiańskim zwyczajem swobodne, choć nie przynoszą dochodu. Tu też stan rybny najgorszy.

Z właścicieli brzegów jedni sami łowią ryby, każden wzdłuż swojego brzegu, a jeżeli brzegi przeciwległe należą do różnych właścicieli, to każden ze swego zastawia przyrządy, albo też łowią wspólnie, jak, kiedy i gdzie im sposobnie, nie zawierając zwykle w tym względzie osobnych umów. Inni znowu właściciele nie upatrują dla siebie korzyści z trudnienia się rybołowstwem, które rolnikowi nie przynosi zysku. Ogółem zaś rzecz biorąc, właściciele nie wzbraniają przynależnym do gmin dotyczących, lub mieszkancom, a nawet obcym, przystępu do swych brzegów, z czego ci korzystając, łowią ryby według upodobania. Członkowie sąsiednich gmin ławiają nawet wzajemnie na cudzych wodach i z cudzych brzegów, a ten komunistyczny zwyczaj utrzymuje się nietylko na wodach przepływających lub dzielących gminy i powiaty, lecz nawet na granicznych rzekach pomiędzy gminami ościennych krajów, z tą atoli gdzieniegdzie, jak n. p. na granicznej Wiśle i Czeremoszu, różnicą, że łowiący ryby na cudzej wodzie, lub przybijający do cudzego brzegu, celem zaciągnienia sieci, opłacają się częścią zdobyczy w rybach. Czasem kilka wsi społem wybiera się na łowy ryb, jak n. p. przy tak zwanem „łańcowaniu“ na Dniestrze. Rybacy z profesyi, którzyby mieli z połowu ryb stały zarobek, należą do wyjątków, inni zajmują się tu i owdzie łowieniem ryb, jako zarobkiem ubocznym, zaś cała armia ochotników mitręży właściwie tylko czas, gdyż ułowione z biedą trochę ryb, zbywa w karczmie za bezcen, zamiast się pożywić i do pracy posilić. W czasach żniw, kiedy chodzi o sprzęt darów Bożych, włościanie czółnami zalegają po nocach rzeki (San, Dunajec...) i łowią ryby przy świetle, albo uganiają się za dnia, gdzieniegdzie tłumnie kobiety i mężczyźni ku publicznemu zgorszeniu (graniczny Zbrucz), za zdobyczą, która im czasu i trudu nie opłaca, możebnego zarobku przy żniwie nie wyrównywa.

Korporacyj rybackich prawnie istniejących, nie ma w kraju, prócz jedynej w Krakowie składającej się z następców rybaków, którzy na mocy przywilejów nadanych im przez królów polskich (Bolesław Wstydliwy, Władysław Łokietek, Zygmunt August 1566, Henryk 1574, Zygmunt III. 1590, Stefan 1578 ..) łowili ryby na przestrzeni Wisły od Przegorzał do Dębia, i od roku 1481 cech rybitwów stanowili.

Czynsz dzierżawny za rybołowstwo bywa więcej wygórowany tylko na rzekach granicznych, ze względu na interes polegający na przemytnictwie; zresztą jest nieznaczny z powodu wyrybionych rzek. Dwory i gminy, aby się tylko przy rybołowstwie utrzymać, wydzierżawiają je za byle co i bylekomu, oraz bez wszelkich zastrzeżeń co do utrzymywania dobrego stanu rybnego, co przy stawach jest od wieków w zwyczaju; i nie dziw, że tak postępują, skoro w sąsiedztwie i indziej ryb nie oszczędzają.

Tak więc z rybołowstwa rzecznego nie mają obecnie należytych dochodów ani dwory, ani też gminy jako takie, ani właściciele brzegów, członkowie gmin, rybacy z profesyi.

c) Prawo rybołowstwa na wodach bieżących było do czasu indemnizacyi w ładzie; później popadło w stan chaotyczny i polega teraz przeważnie na domniemaniu. Indemnizacya pod względem niego nic nie zmieniła, owszem, według reskryptu z dnia 31 Stycznia 1852 r. L. 465, został utrzymany w tej mierze s t a n, j a k i istniał w roku 1847. Ustawodawstwo austryackie nie przyznawało byłym dominjom wyłącznego prawa rybołowstwa na publicznych wodach płynących, jako prawa wynikającego ze stosunku zwierzchnictwa dominjów. Ustawa wodna z 1869 roku nie uprawniła do rybołowstwa właścicieli brzegów. Zdania prawników co do pytania, do kogo teraz rybołowstwo należy, są z sobą niezgodne, toż wyroki sądowe odmienne.

1. Radca sekcyjny Ministeryum rolnictwa p. C. Peyrer, mający przystęp do archiwów rządowych, tak kreśli w swem

dziele na str. 129—131 stan stosunków prawnych w Galicyi: „Prawa rybołowstwa w Galicyi dały ostatniemi laty kilkakrotnie powód do dochodzeń. Z przepisów staropolskich i późniejszych wyprowadzano je jako prawo to dominjów, to państwa, to właścicieli gruntów nadbrzeżnych. Statut Kazimierza Wielkiego z 1346 roku, przekazał łowienie ryb mieszkańcom miejscowości nad brzegami rzek i potoków położonych, z niego więc, jakoteż z statutu króla Zygmunta II z 1507 roku, okazuje się, że rybołowstwo także poddanym włościanom było dozwolonem. Statuty Kazimierza Jagiellończyka z 1447 r. i Jana Olbrachta z 1496 r. ogłosiły rzeki jako królewskie i wolne, dozwalając łowienia ryb tylko sieciami. Przy dochodzeniach praw rybołowstwa, podnoszono na korzyść dominjów tę okoliczność, że w dawnej Polsce według konstytucyi wszelka ziemia w obszarze dworskim była nieograniczoną własnością dziedzica, a grunt nadany poddanym włościanom, którzy sami byli własnością pana gruntu, stanowił użytkowanie tylko z łaski, od woli pana zależne, że więc i prawo rybołowstwa należało do dziedzica w obrębie jego posiadłości. Przywilejem elekcyjnym *(pacta conventa)* króla Stefana Batorego z 1576 r. nadano wszelkie pożytki z dóbr szlacheckich właścicielom tych dóbr, a królowi i jego następcom nie było wolno dziedzicom gruntu przeszkadzać w użytkowaniu. Taki stan zastał Rząd austryacki przy zajęciu Galicyi i zatrzymał go. Dawne dominja przyznając sobie prawo rybołowstwa, powoływały się na rozporządzenie gubernialne z 1808 r., które jako niezgodne z ówczesnemi ustawami wyraźnie uchylonem zostało rozporządzeniem gubernialnem z dnia 26. Marca 1826 roku; że dekret kancelaryi nadwornej z dnia 31 Stycznia 1823 roku wyłączył jedynie rybołowstwo z pod kategoryi podatku gruntowego, a poddał podatkowi klasowemu, względnie zarobkowemu; że wreszcie z dawnej galicyjskiej księgi ustaw z 1797 r. wypływa, iż rybołowstwo na publicznych rzekach nie jest prawem dominikalnem, lecz służy państwu lub tym, którym państwo je nadało. W obec tak różnych zapatrywań władz galicyjskich, przedłożonych Ministeryom 1864 roku do dalszego postanowienia, Ministerya zgodziły się na to, że także w Galicyi rybołowstwo jako uprawnienie prywatne uważane być winno, albowiem kodeks cywilny między innemi prywatnemi prawami rybołowstwo wymienia i żadnego innego tłómaczenia nie dopuszcza; że przeto w Galicyi na wodach publicznych i prywatnych faktyczny stan posiadania lub inny okazany tytuł prawny ma pod tym względem rozstrzygać; Ministeryum skarbu zaś reskryptem z dnia 19 Czerwca 1865 r. L. 2711 poleciło krajowej Dyrekcyi skarbowej, nie rościć dla państwa wyłącznego prawa rybołowstwa na spławnych rzekach Galicyi, gdyż faktyczne posiadanie ma być utrzymane aż do ewentualnego innego uregulowania. Sprawozdania dawniejszych urzędów cyrkularnych, tudzież Towarzystw rolniczych, dają wierny obraz chaotycznych stosunków prawnych rybołowstwa w Galicyi, które tu w licznych okolicach to niegdyś znakomite źródło bogactwa narodowego przygnębiły, a szczególnie połów łososi i jesiotrów do upadku doprowadziły. Miejscami wykonywają rybołowstwo dawni dziedzice włości; indziej gminy, które sprawują zarząd rybołowstwem jako swoim majątkiem i dochody z niego na potrzeby gminne obracają; jeszcze indziej rybołowstwo uważane jest za przedmiot dowolnego zawłaszczenia. Pewien sprawozdawca tak kreśli te stosunki: Obecnie uważa niższa klasa ludzi dzikie rybołowstwo na rzekach i strumieniach za rzecz niczyją; łowienie ryb odbywa się dowolnie z bezwzględnością w każdej porze roku, bez szanowania praw rybołowstwa osób trzecich, nie doznających żadnej dotąd i znikąd opieki; swawola przechodzi wszelkie granice, przesadzają się w użyciu szkodliwych środków, pracują bezrozumnie i bezprawnie nad zniszczeniem stanu rybnego rzek i potoków". Obraz tego nierządu, skreślony przed tylu laty, roztacza się dotąd w całym kraju przed patrzącym nań, tylko w barwach może jeszcze jaskrawszych.

2. Rządowy projekt ustawy rybackiej, przygotowany w 1870 r. (ogłoszony drukiem w „Circular" Nr. 1 *des deutschen Fischer-Vereines* z 1871 r., str. 31—41), a przedłożony Radzie Państwa d. 26 Listopada 1874 r. i cofnięty d. 7. Maja 1879 r., nie wchodził w określenie uprawnień rybołowczych, dlatego, że zdaniem Rządu o tytule własności uprawnień rybołowczych rozstrzygać winien właściwy sędzia w każdym pojedynczym wypadku. Projekt namienił tylko w §. 2, iż uprawniony do rybołowstwa może je sam wykonywać, albo jego pełnomocnik, zastępca, dzierżawca lub najemnik. W §. 5. zalecał wydzierżawianie gminnego rybołowstwa, a w §. 6 ustanowienie spółek rybackich, czem prawo rybołowstwa ograniczał. Projekt ten poddał szczegółowej krytyce radca sądowy w Krakowie p. Louis w swej pracy: *„Uwagi nad projektem ustawy o rybołowstwie w Galicyi. We Lwowie 1879"* (Przedruk z „Przeglądu sąd. i adm.").

3. Radca sądowy w Krakowie p. J. Wawel-Louis, biorąc pochop z sporów o rybołowstwo, które po przycichnięciu rozgłośnych namiętnych zwad o lasy i pastwiska, jako nowa plaga procesowa z charakterem epidemicznym rozpościerać się zaczynają po kraju, wydał ważną pracę pod tytułem: *„O prawie rybołowstwa w Galicyi"*. We Lwowie 1879 (Przedruk z „Prawnika"). Rozbiera w niej szereg przepisów z rybactwem związek mających i omawia odmienne orzeczenia sądowe w sporach o rybołowstwo z powodu braku punktu oparcia i stałej podstawy w ustawach nadanych. Z dawnych praw polskich wysnuwa wniosek, „iż w Polsce rybołowstwo na rzekach, o ile nie było wykonywane przez samego króla, w jego imieniu lub na jego dochód wydzierżawione, jak również o ile nie zostało jako przywilej osobom prawnym lub prywatnym przez monarchę wyraźnie nadane, było domniemaną własnością posiadaczy brzegów rzek" (str. 5). W końcu czyni uwagę, że dopokąd ustawa o rybołowstwie uchwaloną i ogłoszoną nie zostanie, zasady przez niego „omówione a uprawniające właściciela pobrzeża niespławnej rzeki do rybołowstwa, w życiu prawnem mieszkańców i w orzeczeniach naszych sądów, podtrzymywane być winne. Są one jedynie sprawiedliwe i moralne; przestrzegane, ochronią ludność od pieniactwa, własność od napaści, a tę niegdyś obfitą gałęź bogactwa narodowego od upadku" (str. 26).

4. Celem dalszych dochodzeń stosunków prawnych rybołowstwa we wszystkich krajach koronnych, Ministeryum rolnictwa wydało w miesiącu Lipcu 1879 r. do wszystkich namiestników Okólnik *Circularerlass des k. k. Ackerbauministeriums an sämmtliche Länderstellen vom 26 Juli 1879, L. 6759)* z szeregiem pytań trzech kategoryj, mianowicie co do: *a)* faktycznego wykonywania rybołowstwa na wodach bieżących, *b)* stojących i *c)* ustawodawczego określenia prawa rybołowstwa.

Kwestyonaryusz ten w polskim przekładzie profesora Dra Zatorskiego podał „Czas" w Nrze 202 z d. 3 Września 1879 r.; w streszczeniu ogłosiła go także „Gazeta Narodowa" w Nrze 206 z 1879 r., z tą uwagą z swej strony, że rybołowstwo jako sprawa kultury krajowej należy do kompetencyi Sejmów, całkiem tak, jak ustawa łowiecka jakoteż ustawa o ochronie zwierząt.

Namiestnictwo zażądało od starostów, oraz magistratów w Krakowie i we Lwowie, sprawozdań o stosunkach rybackich na wodach bieżących i stojących. Starostowie znowu zapytali o nie obszary dworskie oraz gminy, i przedłożyli otrzymane odpowiedzi na zadane 13 pytań, poczem Namiestnictwo sporządziło według powiatów i porządku pytań: „*Zestawienie stosunków prawnych rybołowstwa w Galicyi na podstawie sprawozdań c. k. Starostów. Z c. k. Namiestnictwa. Lwów dnia 10 Listopada 1879*“.

Operat ten służył za podstawę obrad i uchwał Komisyi rybackiej, którą Namiestnictwo zwołało w Listopadzie 1879 r. do Lwowa. W tej Komisyi uczestniczyli delegowani Namiestnictwa, Wydziału krajowego, Wyższego sądu i Towarzystwa rolniczego we Lwowie, tylko Wyższy sąd w Krakowie złożył pisemnie swoją opinią. Oba sądy zgodziły się na uchwały Komisyi. Namiestnictwo przedłożyło te jednomyślne uchwały Ministeryum rolnictwa sprawozdaniem z d. 14 Października 1880 L. 52890. A gdy zwolna na Okólnik także inne kraje koronne odpowiedziały, Ministeryum rolnictwa ogłosiło z początkiem r. 1882 drukiem: „*Wynik dochodzeń co do:* a) *praw rybołowstwa na wodach płynących*, b) *stojących i* c) *zapatrywań na uregulowanie prawa rybołowstwa*“. O Galicyi są w tej publikacyi następujące orzeczenia lwowskiej Komisyi:

Co do wód bieżących: *a)* Uprawnień, któreby się rozciągały na większe przestrzenie wód t. j. po za obręb własnej gminy lub własnego obszaru dworskiego nie ma w kraju; wyjątkowo zaś w obrębie gminy lub obszaru dworskiego większe przestrzenie wody w ręku poszczególnych uprawnionych. *b)* Dokładne odgraniczenie i pokawałkowanie praw rybołowstwa należy do rzadkości. Gdzie praw rybołowstwa nie ma wyłącznie w swym ręku właściciel obszaru dworskiego, tam łowią mieszkańcy nadbrzeżni lub przynależni do gminy. Prawidłowo jest to skutkiem ubóstwa w ryby wód galicyjskich. Gdzie mieszkańcy nadbrzeżni sami łowią ryby, tam są znie woleni, przyrządy li z swego brzegu zapuszczać. Dalszego stałego odgraniczenia według długości i szerokości nie ma. *c)* Przestrzeni, na którychby kilka osób, bez miejscowego rozgraniczenia, miały prawo łowić ryby równocześnie lub na przemian, prawidłowo nie ma, z wyjątkiem wypadków pod *b)*. *d)* Zdarza się, że szczególniej tam, gdzie rybołowstwo przynależy obszarowi dworskiemu, tenże dopuszcza także członków gminy do połowu. Tak n. p. w niektórych wypadkach dostarcza dwór przyborów do łowienia, zaś członkowie gminy rybaków, poczem dzielą zdobycz. *e)* Co do pytania, czy są przestrzenie, na których prawo rybołowstwa służy członkom pewnej gminy jako takim? Komisya odwołała się do punktu *b)*. *f)* Najwięcej przestrzeni, zwłaszcza na rzekach większych, podlega wolnemu rybołowstwu, łowi na nich kto chce, chociaż nie ma do tego żadnego prawnego tytułu nabycia. *g)* Na większych wodach z wolnem rybołowstwem, oddają się częstokroć osoby łowieniu ryb sposobem istotnie zarobkowym. *h)* Na sztucznych przekopach posiadają prawo do łowienia ryb zazwyczaj właściciele takowych, przynajmniej o tyle, o ile wolnego rybołowstwa na nich nie dopuszczają. *i)* Nie ma uprawnień łowienia ryb za pomocą przyrządów szkodliwych, n. p. samołówek, lasek i t. d. *k)* Właściciele gruntów nadbrzeżnych dozwalają przystępu do nich uprawnionym do rybołowstwa. *l)* Uprawnień do łowienia ryb na cudzych strumieniach prywatnych nie ma.

Co do wód stojących: Te, same tylko stawy, są własnością prywatną, a ich właściciele także uprawnionymi do rybołowstwa.

Co do uregulowania prawa rybołowstwa: Komisya uznała ustawowe uregulowanie prawa i wykonywania rybołowstwa za wskazane *a)* Nie naruszając istniejących uprawnień, przyznać rybołowstwo na wodach spławnych krajowi, na niespławnych gminie, względnie właścicielowi obszaru dworskiego, w granicach ich obrębu. Delegowany Wydziału krajowego radca Lois wnosił, aby rybołowstwo dotąd przez członków gminy wykonywane, przyznać właścicielom gruntów nadbrzeżnych, co jest uzasadnione dawnemi prawami polskiemi, a późniejszem ustawodawstwem nie zostało zniesione. *b)* Osobom łowiącym ryby sposobem zarobkowania na wodach z rybołowstwem dotąd wolnem, zostawić na takich wodach łowienie ryb na czas własnego zarobkowego wykonywania. *c)* Wykupu uprawnień do łowienia ryb na cudzych wodach i uprawnień szkodliwych rybactwu, nie zachodzi potrzeba, gdyż takie uprawnienia nie istnieją. *d)* Nie ma uprawnień do wykupu.

Ogólne zasady prawa rybołowstwa przez Rząd projektowane, Komisya uznała za odpowiednie, mianowicie:

1) Przyznać prawo rybołowstwa na publicznych wodach, gdzie

a) każdy mógł łowić ryby:

1) na jeziorach oraz żaglowych i spławnych wodach płynących, krajowi;

2) na innych publicznych wodach, gminie;

b) każdy członek lub mieszkaniec gminy mógł łowić ryby, gminie.

2) Utrzymać na wodach, pod *a)* i *b)* namienionych, zarobkowe łowienie ryb przez pewne osoby na przeciąg czasu zajmowania się przez nie same tą czynnością.

3) Utrzymać istniejące prawa rybołowstwa. Uprawnień do szkodliwych sposobów łowienia ryb nie ma do wykupu.

Ogólne zasady wykonywania rybołowstwa przez rząd projektowane, a przez lwowską Komisyą za odpowiednie uznane:

1) Uznać przestrzenie wód jednego uprawnionego, dość rozciągłe dla racyonalnego wykonywania rybołowstwa, za udzielne rewiry;

2) Złożyć rybołowstwa, nieodpowiadające warunkowi ad 1), w rewiry wspólne, te wydzierżawiać i czynsz pomiędzy uprawnionych dzielić;

3) Wciągnąć w rewir wody prywatne z nim w związku zostające, bez zezwolenia posiadacza, tylko wtedy, jeżeli ani rewiru nie da się tak zamknąć ku wodzie prywatnej, aby przeciąg ryb utrudnić, ani też posiadacz nie zobowiąże się, zaniechać w niej wszelkiego połowu ryb. Delegowany Wyższego sądu zauważył, iż takie wciągnięcie wody prywatnej w rewir, byłoby targaniem się na prawa prywatne, zaś Wyższy sąd w Krakowie nie zgodził się na to o tyle, o ile ustawa nie przewidziała wywłaszczenia.

4) Postanowienie ad 2) nie oddziaływa na umowy dzierżawne w czasie ogłoszenia już istniejące.

5) Uznać wody rewiru za okręg spółkowy, albo podzielić według kilku rewirów na okręgi spółkowe. Ogół posiadaczy lub dzierżawców tworzy spółkę rybacką, obowiązaną do wspólnych zarządzeń celem racyonalnego wykonywania rybołowstwa.

5. Komisya prawnicza Akademii umiejętności w Krakowie, spowodowana przez radcę sądowego pana Louis, zastanawiała się (*Protokół posiedzenia Kom. prawn. Akad.*

umiej. z d. 17 Stycznia 1880 r., „Czas“ Nr. 74 z r. 1880) nad pytaniem: komu służy prawo rybołowstwa? Radca sądowy p. Louis żądał przyznania tego prawa właścicielom gruntów nadbrzeżnych. Profesor Dr. Zatorski sądził, że obecnie domniemanie prawa tego przemawiaćby mogło tylko na rzecz byłych dominjów i gmin miejskich, dalej, że okólnik Ministeryum rolnictwa, uznający prawa rybołowstwa nabyte, a przyznający w innych razach prawo rybołowstwa krajowi, gminom i dworom, podniósł należycie zasady, na których oprzeć się ma przyszła ustawa. Profesor Dr. Kasparek, równie przeciwny właścicielom gruntów nadbrzeżnych jak prof. Dr. Zatorski, przemawiał zgodnie z projektem rządowym za przyznaniem na wodach niespławnych prawa rybołowstwa obszarom dworskim i gminom. Profesor Dr. Bobrzyński przedstawiwszy rozwój prawa rybołowstwa w dawnej Polsce, objawił zdanie, że gdyby dawne prawo polskie dziś urzeczywistnić, to należałoby je przyznać: 1) właścicielom dóbr ziemskich w dawnej ich rozciągłości t. j. na obszarze dworskim i gminnym; 2) tym gminom miejskim i wiejskim, ale gminom jako takim, które mogą wykazać, że prawo to od dawnych właścicieli tych terytoryów nabyły. Następnie jednak podniósł tę okoliczność, iż z upadkiem rybołowstwa w Polsce od wieku XVII, ogół właścicieli ziemskich i gmin, uprawnionych do rybołowstwa w rzekach, przestał z rzadkim wyjątkiem prawo swe wykonywać i dopuścił do łowienia ryb w rzekach przez każdego, kto chciał, wskutek czego prawo to właścicieli z końcem Rzeczypospolitej w ogóle zniknęło, a rybołowstwo stało się dzikiem, z rzadkimi wyjątkami, w których jako prawo, połączone z zakazem w obec trzecich, je utrzymano. A że ustawodawstwo austryackie prawa polskiego, co się tyczy rybołowstwa, w Galicyi nie usunęło, przeto zdaniem profesora Dra Bobrzyńskiego przyjąć należy, że 1) rybołowstwo w ogóle jest dzikiem, a żadne domniemanie prawa rybołowstwa, ani na rzecz właścicieli dobr ziemskich, ani na rzecz gmin, a najmniej już na rzecz włościan, nie istnieje; 2) każde, wyjątkowo istniejące prawo rybołowstwa, powinno istnienia swego, jako prawo, szczegółowym tytułem i faktycznem wykonywaniem udowodnić“. Dr. Piekosiński podał myśl, aby mające się stworzyć prawo rybołowstwa, zamiast obszarom dworskim i gminom wiejskim, przyznać szerszym, utworzyć się mającym okręgom rybołowczym, n. p. tym samym okręgom, które powołane są do konkurencyi wodnej, i radzi dochód z rybołowstwa w takim razie obracać na regulacyą rzek, byłoby to bowiem najsprawiedliwsze jego użycie, ażeby rzeka tym przynosiła korzyści, którym wyrządza szkody. Profesor Dr. Zoll wykazał, iż ze względów prawniczych, oddaniu prawa rybołowstwa jednostkom administracyjnym, żadne trudności nie stoją na zawadzie. Profesor Dr. Heyzmann, tudzież ś. p prof. Dr. Bojarski i były senator Wolnego miasta Krakowa ś. p Dr Hoszowski, oświadczyli się również przeciw przyznaniu prawa rybołowstwa właścicielom gruntów nadbrzeżnych, ostatni, odwołując się do praktyki administracyjnej z czasów W. m. Krakowa, zgodnej z tem zapatrywaniem. W końcu rozprawy referent p. Louis obstawał za właścicielami gruntów nadbrzeżnych; wszyscy zaś obecni członkowie Komisyi zgodzili się na to, że oddanie prawa rybołowstwa dzisiejszej gminie wiejskiej i obszarom dworskim ze względu na ich wadliwy ustrój, na szczupłość ich terytoryum oraz brak sił i środków, nie odniesie pożądanego skutku, t. j. że gospodarstwa rybnego w kraju naszym podźwigąć nie zdoła.

6. Z końcem Kwietnia 1882 r. odbył się wiec rybacki w Wiedniu, na którego porządku dziennym stała między innemi także sprawa obrad nad ogólnemi zasadami do pastwowo-ustawowego uregulowania rybołowstwa. Ministeryum rolnictwa, mając przedłożyć nowy projekt ustawy Radzie państwa, oparty na zapatrywaniach władz i odbytych ankiet poszczególnych krajów koronnych, uznało za stosowne poznac poprzednio jeszcze i zapatrywanie wiecu, w ktorym przez delegowanych wzięło udział 8 Towarzystw rybackich z tyluż krajów monarchii. W tym celu udzieliło kilkadziesiąt egzemplarzy wspomnianej publikacyi „Wynik dochodzeń“ do rozdania między Tow. rybackie, aby delegowani tychże obeznali się z osnową i wyrobili sobie zdanie o przedmiocie, nad którym mieli radzić. Towarzystwo rybackie w Krakowie otrzymało na ten cel również kilka egzemplarzy i postanowiło na swych naradach przed wiecem odbytych, popierać w zupełności jednomyślne uchwały lwowskiej Komisyi z 1879 r., w której uczestniczyli mężowie trzech odrębnych zawodów, bo rolników, sędziów i administracyjnych urzędników politycznych. Niemniej przeto podano [1]), chociaż bezskutecznie, także do publicznej wiadomości zasady uporządkowania praw i wykonywania rybołowstwa w Galicyi, aby interesowanym nastręczyć sposobność do objawienia swego zdania, czy uważają te zasady za odpowiednie ze stanowiska prawa własności i gospodarstwa rybnego, lub też nie i o ile, i czy na wiecu należy głosować za niemi lub też przeciw nim. Prócz tego prosiło o zdanie Komisyą prawniczą Akademii umiejętności w Krakowie i Komitety obu Towarzystw rolniczych w Krakowie i Lwowie. Radca sądowy p. Louis spowodowany mającym się odbyć wiecem, ogłosił w Nr. 84 „Czasu“ z 1882 r. artykuł, w którym ponownie przemówił za nadaniem prawa rybołowstwa właścicielom gruntów nadbrzeżnych.

Wiec przyjął jednomyślnie następujące zasady:

I Co do uregulowania praw rybołowstwa;

1) zgłosić prawa rybołowstwa w oznaczonym terminie celem stwierdzenia takowych,

2) rybołowstwo przyznane wszystkim mieszkańcom lub członkom gminy, nadać gminie,

3) w braku uznanych praw, szczególnie tam, gdzie każdy mógł łowić ryby, przyznać prawo rybołowstwo na:

a) wodach prywatnych, właścicielom tych wód,

b) wodach publicznych, a mianowicie na

α) jeziorach, żaglownych lub spławnych rzekach, krajowi.

β) innych publicznych wodach płynących, gminie miejscowej w jej obrębie, które to prawo wszakże przejdzie bez wynagrodzenia gminy na kraj, skoro tenże uchwali, całe rybołowstwo dotyczącego dorzecza wziąć we własne posiadanie.

---

[1]) Nowicki M. Dr. Wiec rybacki w Wiedniu („Czas“ Nr. 84, „Reforma“ Nr. 86) 1882.

(Dokończenie nastąpi).

OBŁĄKANY?

PRZEZ

WŁADYSŁAWA CZAPLICKIEGO.

(Dokończenie.)

Kaczetat leży wśród gęstego lasu, wśród tajgi i przy samym gościńcu, rozumie się, jeżeli pod gościńcem zechcemy pojąć zwykłą naszą leśną drogę, może tylko o tyle lepszą, że wspomniony gościniec jest nieco szerszy i suchy. Po prawej stronie tego gościńca stoją cztery jeszcze nieoparkanione domy w niewielkiej od siebie odległości w linii niezupełnie równej, ale równoległej z gościńcem. Domy te dosyć obszerne, drewniane i niepobielane. Po za tymi domami krzaki dość gęste a tuż za nimi szumi bystry Czułym. Dojeżdżając do Kaczetatu spostrzegłem Franciszka z daleka, oparty o drzewo, z twarzą zwróconą na zachód, stał nieruchomy jakby posąg. Nadjeżdżający tarantas nie zwrócił jego uwagi, ręka dopiero moja lekko położona na jego ramieniu, ocuciła go z smętnej zadumy. „Jak się masz?“ zapytałem i dodałem „o czem tak myślisz?“ „Dobrze!“ odparł zagadniony z wyrazem smutku na twarzy, a potem wbrew przyjętemu przez niego zwyczajowi, wycedził przez usta zakrojone bolesnym uśmiechem: „patrzę na zachód, bo nam spoglądać należy tylko w tę stronę, a przynajmniej“ — mówił patrząc mi w oczy i palcem dotykając swej piersi — „przynajmniej mnie. Tam spoczywają nasi przodkowie, tam grób mojego ojca, tam moja ukochana matka i siostra, tam moja, tam nasza ojczyzna!“ „Masz słuszność mój Franiu“ rzekłem biorąc go pod ramię i pociągając go ze sobą ku domowi, „masz słuszność, ale karmić się ciągle temi myślami, które tak ciężką sprawiają nam boleść, rozkoszować w tej boleści, pieścić się nią i żyć a raczej truć się tą boleścią, tego nam nie wolno. Byłoby to zbrodnią, bo tym sposobem stopniowo, powoli zatruwamy sobie życie, zabijamy się sami, a jednak kto raz swoje życie i całego siebie poświęcił narodowej sprawie ten winien szanować, oszczędzać własne swe życie, bo wówczas nie jest już ono jego własnością“. „Tak“, zimno odpowiedział Franciszek i dodał z pośpiechem: „polowanie odrywa mię od tych strasznych, okrutnych, tak mocno dręczących mię myśli!“ „Czy często polujesz?“ zapytałem. „Tak!“ odpowiedział. „Czy szczęśliwie?“ „Tak!“ W tem zbliżyliśmy się do domu. Oknem wyglądało młode, może 18 lub 19 letnie dziewczę. Jasna rumiana blondyneczka, o czarnych ładnie oprawnych oczach i usteczkach jakby dwie wiszenki. Wzrok swój wlepiła w niego z wyrazem niewysłowionej miłości i zdawało się, jakoby całą swoją duszę, pragnęła przelać w jego jestestwo. „Coś to ta blondyneczka“ zacząłem „bardzo miłośnym wzrokiem spoglada na ciebie?“ Zamiast odpowiedzi skinął ręką niedbale, jakby w znaczeniu, że mu to zupełnie obojętne Tymczasem weszliśmy do domu. Franciszek otworzywszy drzwi, wprowadził do pokoju, a przedstawiwszy mnie tej blondyneczce, która sama jedna siedziała w pokoju i przedstawiwszy ją wzajemnie jako Aniutę Michajłowną, oświadczył zaraz na wstępie, że nazajutrz wybiera się na kilkudniowe polowanie na niedźwiedzie w głąb tajgi. „Ach! Panie Boże!“ zawołała na to Aniuta w języku moskiewskim a rumiana twarzyczka jej zbielała nagle. „Cóż ciebie to tak mocno obchodzi“, rzekłem zwrócony do niej i dodałem: „cóż oznacza ten wykrzyk? Dlaczegoż moje dziecię na tę wiadomość przybladła twoja twarzyczka?“ „Na miłość Boską!“ zawołało dziewczę, zrywając się z krzesła „czyż ty nie wiesz jak poluje Franc Karłowicz? Nie wiesz, w jaki sposób zabija niedźwiedzia, nie wiesz, że jego kiedyś czeka niechybna śmierć w pazurach i objęciach tego strasznego zwierza?“ i w zapale tym znów zarumieniła się jej miła twarzyczka, a wyprostowana, z ręką nieco w górę wzniesioną, postać jej cała i gibka i kształtna i wyraz jej twarzy, nadawały jej cechę istnej bohaterki z czasów średniowiecznych. „On“ kończyła z zapałem „on tolko nożom ili toporom ubiwajot miedwiedia!“ (on tylko nożem albo toporem zabija niedźwiedzia!) Aniuta po tych wyrazach jakby bezwładnie opuściła rękę, a w oku jej czarnem zalśniły łzy.

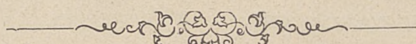
„Chodź do ambary!“ (ambara, tyle co komora) dodała pociągając mię za rękę „a ukażę ci skóry“. Nie mogłem oprzeć się jej żądaniu i choć Franciszek oświadczył, że to nie warto oglądać, poszedłem z nią do komory. Aniuta ukazawszy mi kilka to mniejszych to większych skór niedźwiedzich, a na tych znaki tylko od topora lub noża, błagała rzewnie, ażebym mu odradził takie polowania. „A to“ dodała „chotia on kakij to udiwitielnyj, chotia on — każetsia — nie możet isterpiet' mnia, wsio taki ja jewo lubliu boleje, cziem żyźń moju!“ (Bo ja, chociaż on jakiś dziwny, chociaż on, jak zdaje się, nie cierpi mnie, przecież ja jego kocham więcej, niżli życie moje!“) Powróciwszy do pokoju, użyłem całego arsenału, całej potęgi mojej wymowy i argumentów, ażeby go odwieść od tak szalonego sposobu polowania, ale — na próżno. Na wszystkie moje wywody słyszałem z ust jego jedną i tę samą odpowiedź: „niedźwiedź, to Aleksiej Nikołajewicz, a Aleksiej Nikołajewicz, to niedźwiedź!“ a przytem uśmiechał się jakoś tak dziwnie, że zaprawdę trudnoby mi przyszło zdefiniować, czy na dnie tego uśmiechu leży boleść, czy złośliwość, albo też i pierwsze i drugie razem złączone, a i oczy jego jakimś że tak powiem fosforycznym jaśniały blaskiem. Bawiłem tam kilka godzin, bo musiałem czekać na mojego gospodarza. Aniuta tymczasem wniosła olbrzymich rozmiarów samowar, podała herbatę, jakąś dziczyznę na zimno, tudzież poziomki ze śmietaną. W tym czasie nadjechał gospodarz mój, wytoczyliśmy przed nim całą sprawę, a gdy i jego perswazye i przestrogi żadnego u Franciszka nie odnosiły skutku, odwołał mnie na bok i rzekł mi po cichu: „Eto nastojaszczij sumaszedszyj!“ (To prawdziwy, rzeczywisty waryat!) Aniuta była smutna, przy nalewaniu herbaty, ręka jej drzała, a od czasu do czasu po gładkiem jej liczku, staczała się łezka, a zapytana o przyczynę tego, odrzekła smutnie, że ma jakieś złe przeczucie. „Jutro“ zawołał na to Franciszek „idę tylko na niedźwiedzia, a jestem tak pewny siebie, że nawet gwintówki nie wezmę ze sobą“. „W takom słuczaje“ odrzekła Aniuta a oczy jej zalśniły dziwnie „i ja pojdu z toboju! (W takim wypadku i ja pójdę z tobą!) Wkrótce potem, nie mogąc się doczekać gospodarzy Franciszka, pożegnaliśmy jego i Aniutę i ruszyliśmy w drogę z powrotem do domu. W drodze jadąc dość

raźnie ciągle samą tylko tajgą, rozmawialiśmy wiele o tych odwidzinach moich, o Franciszku i o Aniutce, którą rodzice tak nieoględnie i na tak długo pozostawiają samą jedną w domu z takim młodzieńcem. Obadwa zgodziliśmy się na jedno t. j. że Franciszek nie jest przy zdrowych zmysłach, a przynajmniej że sfiksował na Aleksieja Nikołajewicza tudzież, że Aniuta, nie mając żadnej rozrywki ani ciągłego jakiegoś że tak powiem przymusowego zajęcia, nie widząc wśród tych czterech domów w Kaczetacie nikogo innego z młodzieży prócz Franciszka, szalała za nim.

W trzy lub cztery dnie później, rozkoszując się zasze w cudach przyrody wśród letniej nocy sybirskiej, wyszedłem z domu przed zachodem słońca, minąwszy dość długie podwórze, tuż za furtką usiadłem na ławce i zatapiałem wzrok mój to w głębiach tuż pod memi stopy znajdującego się jeziora, to w przecudnie piękne, szafirowe niebo, na którego ciemnem tle coraz jaśniej występowały ślicznie lśniące gwiazdy albo też zabezpieczony włosienną siatką na twarzy, przypatrywałem się chmurom komarów, otaczających mnie lub obsiadających poczciwego psa mojego, który zniecierpliwiony bezustannymi ich napadami, łapał je pyskiem a w końcu począł na nich szczekać i bronić się łapami. Nagle poczciwe psisko zastrzygłszy uszami, zwrócił się szybko i wpadł na podwórze, z którego wkrótce rozległo się głośne jego szczekanie. Pospieszyłem za psem i zaraz ujrzałem jakiegoś gospodarza, który jedną ręką trzymał spienionego konia za cugle a drugą ręką uzbrojoną w pręcik, bronił się od napaści psa który natarczywie rzucał się do niego. Przywołałem psa i zbliżyłem się do przybysza. Na twarzy jego malowały się przerażenie i zgroza, pomięszane z niewysłowioną boleścią. „Panie!“ zawołał „to wy zapewne Władysław Osipowicz?“ „Tak!“ odrzekłem „to ja, albo co?“ i w tejże chwili jak błyskawica przemknęła po głowie myśl o Rutkowskim i o Aniutce. „A cóż Panie!“ z jękiem boleści i łzami w oczach odparł po moskiewsku gospodarz: „Franc Karłowicz i moja córka, moja jedynaczka, o Boże mój miłościwy! może już nie żyje! Tuż koło samego domu zadusił, rozszarpał ich niedźwiedź! Zostawiłem ich jeszcze przy życiu, siadaj Pan na konia i spiesz z pomocą, może zdołasz je jeszcze odratować i przywrócić do życia!“ Wśród tego ukazał się w drzwiach mój gospodarz, na prośbę więc moją zaprzągł konie do tarantasa, i zanim kilkanaście upłynęło minut, to wszyscy trzej byliśmy już w szalonym pędzie w Kaczetacie. W ciągu tej szalonej jazdy nie dowiedziałem się wiele o całym wypadku, później dopiero pozbierałem wszystkie szczegóły, o ile to było możliwem i te podaję tu wiernie, tak jak mnie naoczni opowiadali świadkowie.

Gdy Franciszek wychodził na polowanie, Aniuta koniecznie chciała mu towarzyszyć, ale Franciszek nie zgadzał się na to, a rodzice niepozwolili i Aniuta została wprawdzie w domu, ale płakała niemal dzień i noc, nic nie jadła, nie piła i prawie nie spała. Trzeciego dnia wrócił Franciszek wraz z wielką skórą niedźwiedzią, którą przywlókł za sobą. Opowiadał, że całe dwa dni chodził i błąkał się po lesie napróżno, a dopiero przed paru godzinami spotkał się z niedźwiedzicą i dwoma małemi niedźwiadkami. „Samicę“ mówił „gdy spinała się do mnie, w ucho tak silnie ugodziłem toporem, że padła na miejscu, poczem dobiłem ją nożem, małe niedźwiadki zaś, które skryły się pod poległą matkę, wyciągnąłem, związałem, i są ztąd nie dalej jak o trzy wiorsty“. Gospodarz Franciszka, Franciszek i Aniuta udali się na miejsce i znalazłszy rzeczywiście dwa małe niedźwiadki nieśli, a po części prowadzili na sznurku do siebie. Już byli tuż koło domu, gospodarz Franciszka nawet wprowadził już niedźwiadki do komory, gdy Franciszek i Aniuta pozostali kilkanaście kroków od domu, ażeby rozwiesić skórę z świeżo zabitej niedźwiedzicy. „W tem“, – opowiadała mi gospodyni Franciszka — posłyszeliśmy przeraźliwy krzyk Aniuty. Wybiegliśmy przed dom, i ujrzeliśmy, jak niedźwiedź, istny kolos wspiął się na dwie łapy i porykując groźnie nacierał widocznie na Franca Karłowicza, który natychmiast zdjąwszy z twarzy swą siatkę, groźnie patrzył mu w oczy i w postawie jakby chciał przyklęknąć na jedno kolano, z lewą ręką i zaciśniętą pięścią jakby nią zasłonić chciał głowę, a z drugą uzbrojoną w potężny nóż szerokości blisko na trzy palce a długości więcej jak ćwierć łokcia oczekiwał stanowczego starcia się z najzaciętszym swym wrogiem; wśród tego bowiem wyczekiwania przemawiał do niedźwiedzia „aha! Aleksieju Nikołajewiczu! jesteś? Spróbujemy się teraz, co?“ Aniuta blada jak ściana, z okiem iskrzącem utkwionem w niedźwiedzia stała tuż za Francem Karłowiczem. Gdyśmy ujrzeli taką przerażającą scenę, krzyknęłam na nią ledwie żywą z przerażenia, ale Aniuta ani drgnęła nawet, Franc posłyszawszy to krzyknął tylko „uchod’ Aniuta!“ (Uciekaj Andziu!) Mąż mój wpadł do pokoju po gwintówkę, ale gdy spostrzegł, że nie jest nabita, kolana ugięły się pod nim i upadł zemdlony. W tem niedźwiedź ryknął głośniej niż poprzód i posunął się naprzód, ale Franc Karłowicz właśnie w tej chwili jak kot rzucił się na niedźwiedzia i widziałam tylko, że lewą ręką zasłoniwszy głowę, wpakował mu nóż aż po rękę. Niedźwiedź ryknął, podskoczył, zwinął się, Aniuta podskoczyła z toporem w górę wzniesionym, ale co dalej się stało nie wiem, widziałam tylko krew i jak niedźwiedź przywalił swem cielskiem i Franca Karłowicza i Aniutę, — straciłam przytomność. Gdy ocknęłam się, cała byłam wodą oblana, a przerażeni sąsiedzi stali koło mnie. „Gdzie Aniuta?“ krzyknęłam, ale nie odpowiedziano mi nic, tylko przemocą zaniesiono do pokoju. Po chwili mąż mój i inni gospodarze wnieśli na ręku Aniutę, a potem i Franca Karłowicza, oboje byli jakby w krwi skąpani“. Na tem mniej więcej nieszczęśliwa matka skończyła swoje opowiadanie.

Przybywszy do Kaczetatu pokazał mi gospodarz zaprawdę kolosalne cielsko zabitego niedźwiedzia, a wszedłszy do pokoju ujrzałem nieszczęśliwą matkę klęczącą przy córce, która mając w ścisłem tego słowa znaczeniu wydarte dwa żebra, niestety Bogu oddała już ducha, a gdy zbliżyłem się do Franciszka, zaczął coraz mocniej oddechać, ale za każdem odetchnięciem wydobywał się z piersi coraz głośniejszy jęk. Rozebrałem go, opatrzyłem ciało, obmyłem i nigdzie żadnej niedopatrzyłem rany, z ust tylko wydobywała się krew. Użyłem zaraz zimnych okładów i wkrótce uzyskał przytomność. Po paru godzinach wstał, ale nic nie dowiedziałem się od niego. Milczał znowu jak grób. W kilka dni później zjechał lekarz i komisya na miejsce, poczem znowu Franciszka wywieziono do Krasnojarska, bo według opinii lekarza ponownie dostał obłąkania.



*

Polowanie na dropie

skreślił

W. K.

Duży ten ptak Podola, — waga starego przechodzi 15 kgr. – który na zimę odlatuje do południowych dawnej Polski prowincyj, żyje gromadnie na obszernych polach, lubi najwięcej wyniesione równiny. Z wiosną koło Kwietnia powraca w te strony, gnieździ się w oziminach i dla tego wiele gniazd dropich ulega zniszczeniu przy plewieniu pszenicy. Jaj składa 2 – 4.

Do żniw, które tu najczęściej koło 20. Lipca się rozpoczynają, przebywają dropie w większych i mniejszych stadkach w oziminach, wychodząc piechotą na ugory tylko wieczorami, rano zaś, gdy niepłoszone, powracają w zboże po obeschnięciu rosy, często niepokojone, wcześniej. Ustawa łowiecka pozwala je strzelać od 1. Sierpnia. Wtenczas najłatwiej ubić dropia wyjechawszy raniutko w pola, z dobrą lunetą. Znając pozycje, wypytując polowych i pastuchów, łatwo je spotkać. Gdy się je – zawsze na ugorze lub ścierni— zobaczy, trzeba się ukryć starannie czy to za półkopkiem, czy w zbożu tak, by je można dobrze obserwować, wózek zaś odesłać do pierwszej niziny. Dropie koło 8 godziny zaczną ściągać do zboża, do oziminy lub jarzyny, wreszcie chowają się w nie. Po kwadransie do $1/2$ godziny drop jeden wychodzi, obserwuje, czy się kto nie zbliża i powraca do stadka. Manewr ten jeszcze raz powtarza, a wróciwszy powtórnie, już się nie rusza. Wtedy może iść jeden lub kilku myśliwych w to miejsce, a dropie z wielką niechęcią zrywać się poczną, rzadko razem, tak że strzeliwszy do jednego można śmiało zmienić ładunek zanim się drugi ukaże i t. d. Nieletne dropie, które się o tej porze trafiają, jeśli wiosna była późną, „warują“ lub uciekają piechotą i łatwo złapać żywego. Polowanie to nazywa się tu: „Paść dropie“, jest ono najłatwiejszem.

Później do połowy Września dropie przebywają wyłącznie na wyoranych ugorach, lub ścierniskach, chociaż się je zastaje i w polach obsadzonych kartoflami, a nawet w małych kawałeczkach konopi, które chłopi sieją przy oziminach. Na ugorach trafia się w Sierpniu i Wrześniu stadka dropi od 4—15 sztuk, rzadko większe. Te zrana do 9 10 godziny chodzą żerując, szczególniej w miejscach, na których się dużo dzikiego znajduje rzepaku, później zwłaszcza gdy dzień gorący, kładą się dropie w bruździe, najczęściej szeregiem, blizko jeden od drugiego i tak się wygrzewają na słońcu. Wtenczas łatwo je podjeżdżać wozem lub konno. Wóz najlepszy drabiniasty, bo do takiego drop w polu przywykł, strój nie czarny i nie jaskrawy, strzelba schowana.

Po obsianiu ugorów oziminą, dropie łączą się w większe stadka, przebywają na oziminach, lubią szczególniej rzepaki i oziminy zarosłe gorczycą (dziki rzepak). Trafia się wtenczas stada od kilku do 30 50, często nawet sto kilkadziesiąt sztuk. Wówczas podjeżdżać je trudno, bo w dużem stadzie, znajdzie się więcej starych samców, które już nieraz kule i śrót poznały, a te ostrożniejsze zaraz odlatują, a za nimi inne. Najbliżej udawało mi się zbliżyć do dużego stada na 400 kroków. Strzał ze sztućca zawsze dobry. Podjeżdża się tak, by wiatr był do dropia, bo on się musi pod wiatr zrywać, najpierw zdaleka wprost, później w półkole coraz bliżej, ale tak, by się koni nigdy wprost do dropi nieskierowało. Podjeżdżając nie należy na dropie patrzeć, przeciwnie nie zwracając na nie uwagi jechać z krzykiem wio, wiśta i t. p. Zamiast podjeżdżania udaje się w tym czasie najlepiej nagonka, bo drop zawsze nisko lata. Gdy więcej myśliwych, to polowanie urządza się tak, że strzelcy jadą jednym lub więcej wozami na 400—1000 kroków od dropi w półkole, bacząc na wiatr jak przy podjeżdżaniu. Nieznacznie zsuwa się po kolei jeden myśliwy na dół i kładzie plackiem na ziemię (ja kazałem zawsze narzucić na siebie trochę perzu, o który w polu nie trudno), czy to za kępiną rzepaku, czy za miedzą lub ułożoną na prędce kupką brył. Środkowy myśliwy powinien być trochę dalej od dropi wysunięty. Na jakie 200 kroków przed pierwszym i ostatnim myśliwym, rzuca się na ziemię co 100 mniej więcej kroków płaszcze, koce, futerały, garście słomy tak, by to wszystko było widocznem, wozy zaś idą dalej, zbliżają się z przeciwnej strony t. j. z wiatrem do dropi, które poczynają iść piechotą, następnie wznoszą się na skrzydłach. Najlepiej je spędzać strzałami, w tym celu albo jeden z myśliwych je podjeżdża lub daje się furmanowi strzelbę, ze ślepymi nabojami. Jeżeli się uda dropie napędzić na środkowego myśliwego, wtedy każdy strzelać będzie, bo dropie przywitane strzałami, rozbiją się na wszystkie strony. Żaden myśliwy nie powinien podnosić się do strzału wcześniej, aż dropie nad niego nadlecą, bo drop spostrzegłszy strzelca, tak się w tył odbije, że w mgnieniu oka oddali się o kilkadziesiąt kroków. Im więcej strzelców, tem lepiej, udaje się jednak polowanie dobrze we trzech, jednemu już trudniej, ale także udaje się często, trzeba tylko umiejętnie napędzać i odpowiednio porzucać straszaki.

Ponieważ drop nie często płoszony piechotą uchodzi, używa się więc i takiego sposobu: Z którejkolwiek strony należy się zbliżać do dropi wozem tak, iżby się zaczęły oddalać piechotą. By ich nie spędzić, trzeba jeździć ostrożnie, jak przy napędzaniu lisa. Gdy dropie na paręset kroków odeszły, podjeżdża się do ich pierwotnego miejsca, tam robi się pod osłoną wozu łopatą rowek, w który się kryje jeden lub kilku myśliwych. Wóz następnie objeżdża dropie zdaleka z przeciwnej strony i na nowo je niepokoi. Dropie wtedy szybko na swoje wracają miejsce i przychodzą na dobry strzał.

Robią także z drutu i płótna krowę, w którą się może ukryć trzech myśliwych. Krowa powinna mieć szyję ruchomą, jak by się pasła. W taki sposób można każde stado dropi podejść bardzo blizko. Jedna jest tylko przy tem niedogodność, że taka krowa płoszy w polu konie jakie się spotyka.

Najpewniejszy sposób chociaż, mniej przyjemny od nagonki, jest ten, że się obserwuje dropie pod wieczór, gdzie siedzą i na noc zostaną. Raniutko jedzie się w pobliże tego miejsca i idzie następnie piechotą od zachodu pod wschód. Drop pod cień nie widzi, wreszcie cała jego uwaga, jak każdego dziennego stworzenia, zwróconą jest do samej zorzy, daje się więc podejść na 20—40 kroków z łatwością. W okolicach, gdzie chartami często polują,

drop się konno podjechać nie da, tam tylko wozem dobrze to próbować. Drop jest bardzo ciekawy, dla tego myśliwy ustrojony w chwasty lub gałązki może go, idąc z boku, nigdy wprost, podejść na kilkadziesiąt kroków. Na tej zasadzie używałem do podjażdżki dropi z korzyścią małego wózka, jednokołowego, zaopatrzonego lekkiemi listwami, w które się wtyka gałązki. Sposób to jednak męczący, bo się trzeba podsuwać w pozycyi pochylonej.

Dropie wedet jak żórawie, a nawet dzikie gęsi, nigdy nie rozstawiają. Śrót najlepszy gruby najmniej 00·, bo drop twardy. Polowania za pomocą ognia nie opisuję, bo go nie próbowałem.

KORESPONDENCYE.

W odpowiedzi na mój list w kwietniu r. b. pisany w nr. 6. „Łowca" umieszczony, znajduję przypisek szan. Redakcyi dający się streścić w trzech zdaniach: po pierwsze odmawiamy wszelkiej słuszności twierdzeniom korespondenta, uznając jedynie zacność jego intencyi, po drugie, prosimy cofnąć poczynione nam zarzuty, po trzecie, nie jesteśmy wprawdzie nieomylnymi, wszelako do nas należy osądzić, czy zarzuty nam czynione słuszne są lub nie [1]. W obec tak ostrej krytyki niechże i mnie wolno będzie poddać rozbiorowi krytycznemu wyżej wymieniony przypisek szan. Redakcyi [2]) usprawiedliwić się choć w części z poczynionych mi zarzutów.

Co do zdania pierwszego, to sądzę, iż go wcale dosłownie brać nie mogę, z treści przypisku bowiem nie wynika bynajmniej, aby to główne moje twierdzenie, na poparcie którego cały artykuł właściwie pisany był „iż katedra łowiectwa przy krajowej szkole lasowej niezbędnie jest potrzebną" nie było zgodne z zapatrywaniem szan. Redakcyi? Twierdzenie to więc za słuszne uważać muszę, a nie sądząc, by warto było spierać się o to czy tej zimy panowała odwilż, lub o to, czy tej wiosny mniej lub więcej ciągnęło słonek, muszę przypuszczać, iż w oczach Redakcyi mylnem jest jedynie twierdzenie „że ustawa łowiecka tylko na papierze istnieje"; twierdzenia tego jednak nie należało brać tak dosłownie, również jak i ja zarzutów przez szan. Redakcję mi poczynionych całkiem dosłownie nie biorę. Wiadomą jest przecież rzeczą, że gdzie nie ma wyjątków, nie ma i reguły. Gdyby zaś w Galicyi tylko 500 członków Tow. łowieckiego [3]) ustawy przestrzegało, to należy przyznać, iż byłoby to tak maleńkim wyjątkiem, że zaledwie na stwierdzenie reguły czyli twierdzenia przezemnie wypowiedzianego starczyćby mogło. Ja idę nawet dalej, jak szan. Redakcja, gdyż jestem najmocniej przekonany, że w Galicyi znajdzie się dużo więcej obywateli jak tych 500, którzy ustawę łowiecką również uznają i jej się poddają; pomimo tego jednak twierdzę stanowczo, że „ustawa łowiecka u nas przeważnie tylko na papierze istnieje" na które to tak sprostowane twierdzenie tysiące przykładów przytoczyć mogę, między tymi nawet jeden artykuł samego organu Towarzystwa łowieckiego [4]).

Co do zdania drugiego odnoszącego się do zarzutów rzekomo przezemnie szan. Redakcji poczynionych, które się w tem jedynie streszczają, iż pragnąłbym widzieć w „Łowcu" więcej artykułów od Redakcyi, jako też poznać jej zapatrywania na poszczególne sprawy przez korespondentów poruszone a specjalnie łowiectwa dotyczące, to takowych, jeśli je już zarzutami nazwać można, cofnąć nie mogę, wypływają one bowiem z mego przekonania, że zdrowa nauka racjonalnego łowiectwa niezbędnie nam jest potrzebną i że się takową „Łowiec" zająć powinien przynajmniej na tak długo, póki „brak ukwalifikowanego kandydata będzie jedynym powodem nieobsadzenia katedry łowiectwa przy krajowej szkole lasowej" [5]). Czy dla Redakcyi „Łowca" jest to możebnem, to inna kwestya, w której rozbiór wcale się niezapuszczam [6]). Natomiast cofam z prawdziwą przyjemnością wyrzeczone przezemnie zdanie „iż nikt dotąd nie podniósł głosu w sprawie obsadzenia katedry łowiectwa przy krajowej szkole lasowej", a czynię to tem chętniej, że nie chodzi mi bynajmniej o pierwszeństwo co do podniesienia tej sprawy, ale o sprawę samą. Artykułu umieszczonego w nr. 2. „Łowca" z r. 1882. nie czytałem rzeczywiście, sprawozdania z posiedzeń Wydziału i inne wzmianki odnoszące się do tej sprawy, jakie w „Łowcu" umieszczone być mogły, przeoczyłem może w części, lub też wydawały mi się one zbyt nieznaczące, aby się na nie powoływać potrzebnem było, również nie miałem powodu przypuszczać, że szan. Redakcja każde słowo mojej korespondencyi anatomicznie rozbierać będzie, zmiana bowiem kilku słów lub pojedyńczych zdań, które się mylnemi okazały, nie pociągnęłaby jeszcze za sobą zmiany głównej treści mojej „gorącej odezwy" która się na tem zasadza, iż tę dla nas arcyważną sprawę zamilczamy (pomimo tych kilku wzmianek, jakie w „Łowcu" o niej były), że za mało się nią interesujemy i o niej rozprawiamy. Zarzut ten jednak nie odnosił się wcale do Redakcji „Łowca", która do pisywania artykułów kierowniczych nigdy się nie obowiązywała [7]), ale odnosił się do nas wszystkich, dla których łamy organu Towarzystwa łowieckiego tak gościnnie stoją otworem.

Co do trzeciego zdania odnoszącego się do nieomylności sz. Redakcji w sprawach łowiectwa, to pominąłbym takowe najchętniej milczeniem, gdyż wedle mego przekonania powinna szan. Redakcja być rzeczywiście nieomylną na tem polu. Tym razem jednak, gdy chodzi o obronę moich przekonań i jak sądzę dobrej sprawy, nie wolno mi milczeć i zmuszony jestem otwarcie wypowiedzieć, iż wedle mego widzenia rzeczy, twierdzenie szan. Redakcji zawarte w słowach „co do przywiedzionego przez korespondenta jako dowód przykładu, to musimy z całą stanowczością twierdzić, iż nie jest on trafnym (?!) bo jest to naszem przekonaniem, że prawdziwy myśliwy nie zdoła się powstrzymać od strzału do nadciągającej słonki nawet na obcem terytorjum" najzupełniej jest mylne.

[1]) Tego nikt zaprzeczyć nie może. P. R.

[2]) Czego nie znajdujemy. P. R.

[3]) Powiedzieliśmy co najmniej 500. P. R.

[4]) Słowa „przeważnie" nie ma w poprzedniej korespondencyi. P. R.

[5]) Więc szan. korespondent wymaga chyba umieszczenia w „Łowcu" systematycznego wykładu nauki łowieckiej, bo przecież przyznać musi, iż nie ma prawie kwestyi ważniejszej, którejby „Łowiec" w ciągu lat ośmiu nie poruszył i nie objaśnił. P. R,

[6]) Owszem prosimy o rozbiór naszego usprawiedliwienia. P. R.

[7]) Owszem obowiązywała się, ale tylko w razie rzeczywistej potrzeby. P. R.

Jeśli tych 500 członków Towarzystwa rozprószonych po całym kraju, o których szan. Redakcja w przypisku swoim wspomina, w ten sposób strzedz będą ustawy łowieckiej w obec tych, którzy prawu podlegać nie chcą, to gdzież my zajdziemy z naszem łowiectwem?! §§. 4. i 5. patentu o polowaniu z dnia 28. lutego 1786 r. określają najniewątpliwiej, kto jest właścicielem przeciągającej słonki w danym wypadku; §. 20. zaś tego samego patentu orzeka: „słowem łapanie lub strzelanie cudzej jakiegokolwiekbądź rodzaju zwierzyny jest kradzieżą, jak każde inne przyswojenie sobie cudzej własności etc. etc.“ Z tego wypływa więc wedle zdania szan. Redakcji, że kto nie jest zdecydowanym na to, aby w danym wypadku wejść w kolizją z kodeksem karnym, za prawdziwego myśliwego uważanym być nie może?! Nie bez przyczyny kładłem zawsze nacisk na wyraz „prawdziwy“, wedle mego przekonania bowiem jest prawdziwym czyli wytrawnym i skończonym myśliwym tylko ten, który nad namiętnością swoją już zapanował i myśliwstwo tylko w pewnych ustawą dozwolonych a nauką określonych i ugruntowanych granicach, choć z młodzieńczym zapałem wykonywać potrafi. Każdy młody lub w ogóle jedynie namiętnością powodujący się myśliwy nie jest, wedle mego przekonania, ani skończonym ani wytrawnym ani też prawdziwym myśliwym, a jest on dopiero materjałem na prawdziwego myśliwego. Zresztą gdybyśmy „prawdziwość“ u myśliwych mierzyć mieli miarą li namiętności i niepohamowania, to gdzieżby mowa być mogła o uszanowaniu n. p. kuropatwy z gniazda zlatującej, kotnej zajęczycy, siuty i t. p., lub też w danym razie o zaniechaniu bezpotrzebnego kaleczenia zwierza, jeśli danie śmiertelnego strzału było niemożliwością, czego się nie-prawdziwi myśliwi tak często dopuszczają, a co ja, choć to ustawą wcale nie wzbronione, za wielki grzech im poczytuję. Takich myśliwych usprawiedliwiać mogą ludzie dobrego serca, bo któż jest nareszcie bez grzechu, ale nie mogą ich usprawiedliwiać ci, którzy na straży ustaw stać powinni, dlatego też twierdziłem w mojej poprzedniej korespondencyi, że takiego (mojemu twierdzeniu przeciwnego) zapatrywania „Łowiec“ żadną miarą rozpowszechniać nie może i dlatego twierdziłem, a obecnie jeszcze tembardziej twierdzić muszę „że ustawa łowiecka u nas tylko na papierze istnieje“. Naruszenia innej ustawy nikt gorączką, namiętnością, niepohamowaną żądzą zdobycia lub posiadania, a nawet głodem lub temu podobną rozpaczliwą pobudką nie usprawiedliwia, dlaczegoż więc w obec naruszenia ustaw łowiectwa dotyczących znaleźć się ma zawsze jakieś usprawiedliwienie pod ręką?! [8])

Na zakończenie upraszam szan. Redakcję, aby tych kilka słów napisanych ku memu usprawiedliwieniu i mojej obronie zaczyła umieścić w najbliższym numerze swego cennego pisma [9]). *Władysław hr. Baworowski.*

[8]) Zasada postawiona przez szan. Korespondenta zupełnie słuszna, to też i nasz prawdziwy myśliwy do sarny, zająca, kuropatwy na obcem terytoryum nie strzela, ale do przeciągającej słonki?... Obyśmy rychło do takiej abnegacyi doszli. P. R.

[9]) P. R. Niniejszą Korespondencyę nie uważamy jako odpowiedź na nasz dopisek lecz raczej jako obronę twierdzeń. Nie podejmując dalszej polemiki oświadczyć tylko musimy, że owa obrona wcale naszych przekonań, wyrażonych w dopisku, nie nadwątliła, z wyjątkiem chyba jednego ustępu, w którym szan. Korespondent wymaga bezwzględnego szanowania cudzego terytoryum. Wywołanie tego sporu uważamy za zasługę szan. Korespondenta, gorące bowiem rozpatrywanie kwestyi ważnych przynosi niezawodnie wielką łowiectwu naszemu korzyść. Każdy głos dotyczący tej sprawy przyjmiemy z wdzięcznością.

Warszawa, Lipiec.

Z zazdrością czytuję w „Łowcu“ sprawozdania z polowań odbywanych w Galicyi. Widać z tych sprawozdań, jak już wysoko stanęło u was gospodarstwo myśliwskie, możecie nie tylko mieć przyjemność ale i dochód ciągnąć z polowania. Kiedy to my się czegoś podobnego doczekamy? A mamy okolice obfitujące jeszcze w lasy, miejscowości dla zwierzyny nadzwyczaj korzystne, jednak, nieraz trudno u nas o zająca. Weźmy n. p. powiat Lubartowski gub. Lubelskiej. Lasu tu jeszcze dosyć, lasy Łęczyńskie, Sernickie, Czemiernickie, Kozłowieckie, wreszcie sławne niegdyś z wielkiej ilości zwierzyny lasy Lubartowskie zajmują w ogóle więcej niż $^1/_4$ część całego powiatu, bo blisko 66.000 morgów, a przecie nie słychać nigdy o żadnem pomyślniejszem w tych stronach odbytem polowaniu. Najgorzej bez wątpienia pod względem zwierzostanu stoją lasy Lubartowskie, obecnie będące własnością Banku Polskiego. A jednak przed laty kilkudziesięciu odbywały się tu sławne na cały kraj polowania. Jeszcze w r. 1859. hr M. nabywszy od Banku te dobra, zwołał liczną bardzo obławę i kazał założyć dwa nieistniejące już dziś okręgi leśne, około 1000 morgów mające. Otóż z tych dwu okręgów, jak opowiadają wiarogodni uczestnicy tej obławy, oprócz innej zwierzyny wypędzono z górą 120 sarn. Póki hr. M. polował w lasach, zwierzyny ginęło dużo, ale jeszcze uszczerbku wielkiego to nierobiło. Gorsze czasy nastały, gdy w Lubartowszczyznie gospodarzyli krewni hr. M. Wówczas polowanie w lasach nie było już dozorowane, polował kto chciał i kiedy chciał, a największą szkodę robili dzierżawcy i oficyjaliści z licznych do dóbr należących folwarków. Jeden z nich naprzykład, nieżyjący już dziś Zdr. w jednym roku zabił 27 dzików i około 60 sarn, a nie on tylko polował. Nic dziwnego, że przy takiem postępowaniu zwierzyny zaczęło braknąć tem bardziej, że w owe czasy nawet o oszczędzaniu kóz mowy nie było.

W ogóle w lasach Lubartowskich najwięcej bywało sarn, zajęcy stosunkowo nie wiele, „czarne“ także dosyć licznie było reprezentowane. Z ptactwa było dużo cietrzewi głuszcze, niegdyś podobno bardzo liczne, wyniosły się ztąd lub wyginęły już przed 20 laty. Z ptactwa drapieżnego, oprócz zwykłych mniejszych drapieżników były tu w dużej dosyć ilości puhacze, gnieździły się też i orły, o czem świadczy piękny ich zbiór w tych lasach przez p. Wł. Taczanowskiego zebrany a obecnie w Warsz. Gabinecie Zoologicznym pomieszczony.

Od czasu powstania, gdy już i tak przetrzebioną zwierzynę oficerowie konsystujących w okolicy pułków polując z żołnierzami do reszty mordowali, ilość jej malała z nadzwyczajną szybkością. Przyczyniło się tu z jednej strony to, że znaczna część lasu wyciętą została przez sprowadzonych Niemców kolonistów, a z drugiej ta okoliczność, że w sąsiednich wsiach i miasteczkach prawie każdy posiada broń i nieraz niezłego gończaka, przy pomocy którego tępi niemiłosiernie biedne kozy i koty. Gdy dobra w roku 1869 powtórnie przeszły w ręce Banku Polskiego, ilość zwierzyny zeszła do minimum. Straż leśna choć dość liczna jest jednak za małą, by mogła na tak wielkich przestrzeniach dopilnować zwierzyny, którą kłusownicy i samopas włóczące się psy Niemców kolonistów do reszty wyniszczają. Obecnie z dawnych lasów zostały się okręg: Nowa-Grobla, Gawłówka, Krupy, Mirowe Bagno, Wilczak i kilka innych, razem w jednym kawale około 8000 morg. Ale i ten ostatek na zagładę jest przeznaczony. Bank sprzedaje dobra oddzielnymi folwarkami, a wkrótce i na lasy przyjdzie kolej; część z nich około 1200 morg. kupili już żydzi, i na-

turalnie zaraz wycięli, resztę ten sam los czeka prawdopodobnie w niedalekiej przyszłości.

Od kilku lat prawo polowania w lasach Lubartowskich jest w ręku mego krewnego, a biorąc udział w odbywających się tam polowaniach, znam dokładnie stan zwierzyny i warunki, w jakich się znajduje. Na około mnóstwo kłusowników, prowadzi się z nimi walkę o ile się da, ale rzecz to nader trudna, gdyż są oni do tego stopnia rozzuchwaleni, że strzelają do gajowych W ciągu kilku lat 2 z nich zabili; strzelali też do nadleśnego, a nie jednemu z gajowych całe mienie z dymem puścili. W obec tego straż leśna po trochu boi się zaczepiać kłusowników, szczególniej gdy ich po kilku spotyka. Trzeba się zadowalniać zapozywaniem do sądu, strzelaniem psów, naturalnie, nie wiele to pomaga. Na dowód, do jakiego stopnia są rozzuchwaleni okoliczni chłopi, podaję fakt następujący,

W pierwszych dniach Sierpnia zeszłego roku, wracając z polowania na błotne ptactwo, spostrzegłem psa kundla, który gonił młodego zajączka. Już prawie miał go wziąć, gdy udało mi się położyć go trupem. Zajączek był tak zmęczony, że o kilkanaście kroków dalej siadł, i wziąłem go żywego do ogrodu. W parę tygodni otrzymuję awizacyę z sądu. Oto właściciel wytoczył mi sprawę o zabicie psa, żądając wynagrodzenia 56 rubli za prostego kundla. Naturalnie, skargę jego sąd oddalił, nawet on sam zapłacił parę rubli na szpital, ale pomimo tej nauczki niedługo potem widziałem tego samego chłopa w lesie z dwoma psami!

Obecnie w lasach tych poluje się oględnie, zwykle po razu w każdym okręgu. Żeby dać wyobrażenie o stanie zwierzyny podaję tu krótki wykaz tego, cośmy w ciągu ostatnich lat trzech upolowali. Polujemy zwykle w 6 lub 10, rzadko kiedy w większej liczbie, zawsze z nagonką, biorąc zawsze 2 lub 3 (rzadziej) naganiaczy na myśliwego. W roku 1882/3 na 8. polowaniach zabito 7 rogaczy, 7 lisów, 1 wilczycę, 66 zajęcy i 3 jarząbki.

Na jednem z tych polowań, dla urzędowych gości wyprawionem, 17 myśliwych zabiło 1 rogacza, 1 kozę!, 3 lisy, i 11 zajęcy. Strzałów dano przeszło 150. W czasie polowania jeden z myśliwych-gości, zobaczywszy wilka, rzucił broń i schronił się na drzewo, gdy towarzysze śmiać się z niego poczęli, tłómaczył się ten rycerz, że myślał: „szto eto kaban"! Rezultat polowania w roku 1883/4. był daleko gorszy, bo na 8 polowaniach zabito tylko 2 lisy i 34 zajęcy. W roku 1884/5. na 6 polowaniach zginęły 3 kozły, 5 lisów, 29 zajęcy i 2 jarząbki. Nie liczę tu lisów zabitych lub trutych przez straż leśną. Prawda, że rezultaty opłakane. U was na jednem polowaniu w niewielkim lesie ginie kilkakroć więcej zwierzyny niż w Lubartowszczyźnie przez rok cały.

W tym roku nieużytki pod lasem położone i niektóre leśne pagórki obsialiśmy żarnowcem. Może przy dostatecznem pożywieniu zwierzostan choć trochę się podniesie, a przynajmniej może dalej tak szybko upadać nie będzie.

Co się tyczy zwierzyny lotnej, to cietrzewi jest bardzo mało. Tej wiosny tylko w 3 miejscach tokowały koguty. Kuropatw zato jest dosyć, szczególniej w ostatnich kilku latach, gdy sypie im się ziarno w zimie, ilość ich znacznie się powiększyła.

B. G.

KRONIKA.

Storożów (Wołyń) dnia 20. Czerwca 1885.

Podaję wiadomość o polowaniu na wilki z dnia 17. Czerwca b. r. 15go zawiadomił mnie leśniczy rewiru Krzyżyckiego, że w bliskości Hullanki (mośliwskiego dworku) w łozach uroczyska Antoszkowa odezwały się wilki. Można się było spodziewać gniazda, rozporządziłem więc, aby otrąbić z wieczora dnia 16. a 17. wysłuchać rano. Tak też się stało i okazało się, że było pewne gniazdo wilków. Tegoż dnia zebrano z najbliższej wioski Storożowa 40 ludzi pogonki, którzy z wielką ochotą, nie zważając na dzień roboczy, wyruszyli do Hullanki. Myśliwych różnych na prędce zebranych było 20. Obstąpiono miot Antoszkowa i Sajczukowe bagno bardzo ostrożnie w około tak, że myśliwi i nagonka stanowili jeden łańcuch. Naprzód puszczono nagonkę cicho, aby nie robić hałasu aż do pierwszego strzału, gdyż nie byłem pewny czy starych wilków zastaniemy blisko gniazda. W kilka minut po ruszeniu nagonki ukazał się wilk naprzód na lewem skrzydle, gdzie padły do niego 3 strzały chybione, poczem rzucił się on na prawe skrzydło i tam ubił go (była to stara wadera) leśniczy tegoż rewiru. Wnet po tym strzale padł inny na lewem skrzydle, mianowicie gajowego do samca, który legł na miejscu. Żwawo odezwała się nagonka i po chwili wyniesiono z miotu 1go młodego samca zabitego kijem i 2 samiczki żywe. Całe polowanie trwało od godziny 10. do $11^1/_2$. Ubiliśmy 5 wilków. Wielką była radość gospodarzy, że ich łoszęta będą bezpieczne od napaści wilków, ja zaś zadowolony z rezultatu, dałem nagonce do karczmy kwitek na 12 ók gorzałki jako mohorycz (poczęstunek). Już mieliśmy się rozchodzić, gdy się okazało, że jednego z uczestników polowania zabrakło, posłałem dwóch gajowych aby odszukali zgubę, jakoż znaleźli siedzącego na dębie z przestrachu bladego jak trup. Był to student uniwersytetu, który przyjechał do mnie w odwidziny, a że nigdy nie widział polowania na wilki, prosił, abym go wziął z sobą. Jako nie-myśliwy nie miał strzelby tylko laskę, chciałem, aby poszedł z nagonką, ale wolał pozostać przy strzelcach, postawiono go więc na prawem skrzydle za ostatnim strzelcem. Stał spokojnie jak długo nie słyszał strzałów i huku nagonki, wtedy go strach ogarnął, wydrapał się na dąb, z którego, gdy go gajowi znaleźli, ledwo zlazł. Każdy z nas był w dobrym humorze z powodu tak świetnego polowania, uciecha była wielka ale jeszcze większy śmiech z przestraszonego medyka. *Karol Hulla*, nadleśn. dóbr Piszczewskich.

Białykamień w Złoczowskiem.

Pomimo, iż nie należę do Towarzystwa Łowieckiego, jako zamiłowany myśliwy, przesyłam do zajmującej waszej kroniki łowieckiej rezultat polowań odbytych w majątku WPana Sznejdera w Białymkamieniu przez ostatnie 4 lata od r. 1881 do 1885. t. j. od czasu pobytu mego w tych dobrach. Zastałem tu już wprawdzie wzorowe prowadzenie polowań i poszanowanie ustaw łowieckich jednak z każdym rokiem wprowadzamy doniosłe ulepszenia. Nie możemy tu poszczycić się grubszą zwierzyną, jaką są n. p. dziki, które tylko przechodnim są u nas gościem, zadowalać się więc musimy taką zwierzyną, jaka w naszej okolicy przebywa. Od 1. Lipca 1881. do 30. Czerwca 1882. upolowano 1 kozła, 77 zajęcy, 1 jarząbka, 5 słonek i 6 lisów. W roku 1882/3: 1 kozła, 108 zajęcy, 21 kuropatw, 17 przepiórek, 1 chruściela, 11 słonek, 21 lisów, 7 kotów, 6 psów i 8 jastrzębi. W roku 1883/4: 2 kozły, 103 zajęcy, 26 kuropatw, 9 przepiórek, 6 chruścieli, 4 słonek, 2 dubełty, 3 kaczki, 4 kurki, 1 czapię, 6 lisów, 7 kotów, 5 psów i 10 jastrzębi. W końcu od 1. Lipca 1884 do 30 Czerwca 1885: 4 kozły, 144 zajęcy, 57 kuropatw, 10 przepiórek, 13 chruścieli, 3 słonki, 16 dubeltów, 21 krzyków, 1 kaczkę, 22 ptactwa drobnego, 7 lisów, 7 kotów, 7 psów i 6 jastrzębi. Razem więc przez 4 lata upolowano 797 sztuk; a nadto 1 sępa i 1 orła. Sępa upolował podpisany, orła zaś, spostrzegł mały pastuszek pasący bydło w lesie siedzącego w krzakach na zającu, przyskoczył więc i uderzył go w głowę biczyskiem od batoga, poczem orzeł padł martwy, zając zaś pomknął zbywszy się ciężaru i uniknąwszy pewnej śmierci.

Z liczb powyżej podanych, czytelnik spostrzeże, że zwierzostan wzmaga się z każdym rokiem, do czego przyczynia się dowożenie paszy podczas zamieci śnieżnych, ustawianie solanek dla sarn, wytępianie drapieżnych zwierząt i ptaków, a bardziej jeszcze powstrzymanie kłusownictwa, które do niedawna nader silnie uczuwać nam się dawało. Obecnie naznaczył Wny Sznejder jako właściciel polowania, znaczne

honorarya dla straży lasowej i polowej za chwytanie tych nieproszonych gości na swem terytoryum. I tak w powyższych 4 latach odebrano 19 strzelb, które po większej części oddano do Starostwa, zkąd kłusownicy otrzymali karę, wprawdzie lekką, a jednak jak rezultat okazuje odstraszającą. Mamy więc nadzieję, że obecny nowo zamianowany Starosta Wny Flechner, jako dobry myśliwy, a nie mniej też Wni panowie Szymanowski i Jełowicki, c. k. komisarze Starostwa jeszcze energiczniej wystąpią przeciw kłusownikom, co niezmiernie pożądanem by było. Tym sposobem jedynie doprowadzi się do zupełnego wytępiania kłusownictwa w naszej okolicy, a polowania nasze lepszym poszczycą się skutkiem, o czem nieomieszkam w swoim czasie donieść Szanownej Redakcyi.

Marceli Skopowski, rządca.

Z bitego gościńca.

(Wyjątek z listu). Jadę sobie w pierwszych dniach Kwietnia b. r. do Sambora bitym gościńcem przez las Chłopczyc i Koniuszek. Wiozłem moją dubeltówkę do naprawy, raczej do wyciągnienia z niej ładunku Lefaucheux, którego ani wypchnąć ani wyciągnąć nie mogłem. Lewa lufka była wolna. Jadę tedy, wtem mignął ptak jakiś tuż przed końmi — hra! hra! — słonka! Wołam: stój! Wprawdzie przykazanie święte mówi: Nie pożądaj i t. d., ale o słonkach nie ma tam wzmianki, więc złażę z wózka, wtykam nabój w lufkę i stoję na stanowisku, jak wilk oglądając się na wszystkie strony. Boże odpuść, spuściłem cztery. Ileż ich dalej odemnie przeciągnęło, chyba wiele, bo miejscowość ta słynie z przelotu słonek, gdyż w pobliżu ciągną się moczary, olszyną i wikliną porośnięte. Jak tradycya podaje i ja w ciągu lat kilkudziesięciu się przekonałem, miejscowość ta jest najulubieńszą w porze ciągu wiosennego i jesiennego słonek. Przyczyna łatwa do oznaczenia. Lasy Koniuszek, Chłopczyc i wielu innych majątków stanowią brzegi nizin, któremi wije się Strwiąż, a dalej Dniestr. Słonki w czasie wędrówki, w nocy odbywanej, nie wznoszą się zbyt wysoko zwłaszcza przy wieczornem wyruszaniu w podróż. Lasy wyżej wymienione przecinają okolicę wzgórkowatą Rudek i postronnych włości, słonki niechętnie unoszą się ponad szczyty drzew i ciągną raczej linijami, cięciami lub nawet drogami, lecą więc także środkiem murowanego gościńca od strony Rudek ku Koniuszeckim, Kalinowskim i Samborskim równinom, lub odwrotnie od nich ku Rudkom, Czerlanom, Gródkowi i dalej. W czasie wielu lat mego życia przekonałem się, że słonki w porze ciągu, gdy las im stanie w drodze, czy to instynktem wiedzione, czy też wzrokiem wypatrują wolnych przestrzeni śród lasu zwłaszcza gęstego i wysokiego. Ile razy, osobliwie wieczorem, gdy słonki w dalszą wybierają się podróż, polowałem na nie, zawsze z najlepszym skutkiem stawałem na linijach, drogach lub granicach leśnych, od południa ku północy wiodącym. I jest w tem racya, bo wiadomo, że ptactwo wędrowne ciągnie w czasie odlotu od północy ku południowi, przeciwnie zaś podczas powrotu. Słonki, które wówczas w drodze ku Samborowi ubiłem, dążyły wszystkie od południowej Samborskiej ku północnej Rudzkiej stronie. Odlot ptaków wędrownych odbywa się tylko wieczorem i nocą, ciąg poranny jest raczej szukaniem żeru lub miejsc dogodnych do odpoczynku, wtedy też polowanie na słonki lepszy daje rezultat, bo nieustannie przelatują, kręcą się, krążą, wracają, idą na strzał; przeciwnie wieczorem, gdy nie padną na razie od strzału, już ich myśliwy nie ujrzy, pomkną bowiem w dal. *N.*

Wyczytawszy w „Łowcu“ zapytanie pana C. K., z jakiego powodu zowią borsuka jaźwcem, ośmielam się wypowiedzieć w tym względzie moje zdanie. Mowa ludzka, od czasów nader zamierzchłych, bogaci się pod wpływem cywilizacyi, nowemi wyrażeniami. Twory natury już pierwotnie otrzymały nazwy, twory sztuki, wynalazków, wraz z pojawieniem się dostają miano odpowiadające ich właściwościom, pożytkowi lub swym zewnętrznym kształtom. Więc zwierzęta przybierały nazwę od swych kształtów, barwy, sierści, pierza lub jakiejkolwiek indywidualnej cechy charakterystycznej. Pochodzenie nazwy u jednych zwierząt łatwo da się odgadnąć, innych zaś, trzeba szukać chyba w pierwotnem źródle mów ludzkich n. p. w sanskrycie. Imiona wilka, lisa, kuny i innych, chyba nader uczony filolog wywiedzie z pierwiastku czysto słowiańskiego. Sądzę, iż nazwa sarna (szarna), szarak pochodzi od szarej barwy tych zwierząt. Zająca nazwano tak prawdopodobnie od jęku w chwili zgonu, to też Czesi mianują go zajencem. U wszystkich ludów słowiańskich zwierzęta jednem lub bardzo podobnem cechują się imieniem, mało które, jak n. p. borsuk, zupełnie odmienną dostało nazwę. Na Rusi i w Rosyi zowie się on borsukiem, raczej bursukiem, burą suką od barwy włosa burej. W Wielkiej i Małej Polsce mianowano go jaźwcem. Zkąd pochodzi ta nazwa, odważę się wywieść. Tacyt wspomina o narodzie Jadźwingów, którzy niegdyś zamieszkiwali ziemie dzisiejszych Kurpiów. Narody także dostawały nazwy zgodne z ich indywidualnością, zwyczajem i t. d. Dziś jeszcze nazwa „jadźwing“ u ludu polskiego oznacza schowek, piwnicę, sklep, jamę w ziemi. Dawni Jadźwingowie, wiodąc życie koczowniczo-łowieckie, nie budowali sobie mieszkań na powierzchni ziemi, w lecie przepędzali noce pod olbrzymiemi drzewami, w zimie zaś mrozy i śnieżne zawieruchy zmuszały ich do chronienia się w norach, grzebanych w ziemi, prawdopodobnie zwanych „jadźwing“, która też nazwa przeszła na nich samych. Nie dziw więc, że zwierzę, którego właściwością jest życie podziemne w norach, dostało nazwę taką, zmienioną później w jaźwiec. Analogia tych nazw zdaje mi się być zupełnie usprawiedliwioną, wiadomo bowiem, że dziś jeszcze na Mazowszu lud zowie norę lub sklepik na ziemniaki jadźwą lub jaźwą. *A. Ubysz.*

Szczególny wypadek wścieklizny opisuje p. Baillet w Revue Vetérinaire. Gończy po powrocie z polowania rzucił się z wściekłością na cudzego psa, przyprowadzonego również na polowanie i pokąsał go dotkliwie. Wieczorem zjadł jak zwykle swą strawę, toż samo nazajutrz rano i wieczór, i jeszcze na trzeci dzień rano. Przez cały ten czas lizał on inne znajome sobie psy. Trzeciego jednak dnia wieczorem rzucił się na nie i pokąsał, poczem przekonano się, że się wściekł. Psy pokąsane zabito, jak każe prawo francuskie. Baillet przytacza wypadki, że psy znajdujące się w pierwszem stadyum wścieklizny, zarażały swych panów, nie kąsając ich wcale, przez proste polizanie rąk, jeżeli ręce te były w niektórych miejscach pozbawione naskórka n. p. skaleczone, podrapane i t. p.

Konserwowanie ryb. Wiadomo powszechnie, że w tym celu używa się wódki lub kamfory. Można też ryby nawpół zamrozić, a wtedy przeniesione do ciepłego miejsca, po upływie 24 godzin przychodzą do siebie, chociaż ich energia życiowa jest już bardzo niewielka i uderzeniem w głowę można natychmiast śmierć sprowadzić. W każdym razie jeżeli pora jest chłodna, najlepiej rybę zabić przed transportem i natychmiast wyjąć pęcherz z żółcią. Wtedy można być pewnym, że ryba nie zepsuje się nawet gdyby transport trwał czas dłuższy. Jeżeli nie dopełnimy tej ostrożności, pęcherz może łatwo pęknąć, a żółć rozlana nada rybie wstrętny smak gorzki. *(Hodowca).*

W dobrach Kock, należących do hr. Żołtowskiego, ma być zaprowadzonem gospodarstwo rybne na dość znaczną skalę. Założenie stawów i urządzenie całego gospodarstwa powierzonem zostało p. Leonowi Przanowskiego, prezesowi spółki rybackiej. Czynności techniczne prowadzi p. Rabik, czech, a hodowlą ryb zajmują się umyślnie sprowadzeni rybacy z górnego Szlązka. Zapewne z czasem znajdą się rybacy z ludności miejscowej, którzy wyuczywszy się od szlązaków hodowli, będą rozprzestrzeniać w okolicy tę pożyteczną ze wszech miar umiejętność.

(Hodowca).

W rosyjskiej armii mają być wkrótce zaprowadzone we wszystkich pułkach służbowe wycieczki łowieckie. Każdemu pułkowi przydzielony będzie pewien teren myśliwski i 16 psów. Głównym celem tych wypraw jest tępienie wilków, oraz oswojenie oficerów i żołnierzy z trudami i przemyślnością. *(Jagd-Zeitung 1885).*

Recepta kucharska na głuszca. Z koguta, jeśli można młodego, ściągnij skórę wraz z pierzem (obskubanie nie wystarcza), włóż go w gliniany garnek, dopełniony świeżemi, sosnowemi trocinami. Na to nalej pół litra dobrego, winnego octu i dodaj łyżkę stołową *soda bicarbonicum.* Zamknięty pokrywą garnek zagrzeb w chłodnem, ale nie wilgotnem miejscu ogrodu. Po pięciu dniach wyjm garnek, oczyść głuszca i włóż go do zwykłego bajcu, codzień ciepło wypełnionego, na trzy dni. Następnie upiecz go i zastaw swoim gościom, którzy go pewnie z przyjemnością spożyją. *(Weidmannsheil).*

Od Redakcyi.

Przysłane łaskawie artykuły i korespondencye może Redakcya umieścić dopiero w następnych numerach.

Pan Bolesław G. w Warszawie. Ponieważ „Łowiec“ ma debit do Rosyi, przeto najdogodniej odbierać go wprost z poczty.

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.